


**Prenumerata wynosi:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.**
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

**Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

**Rok V. Kraków, 30 maja 1908. Nr. 22.**

# Bandyci na plebanii.

(Treść na str. 2).

## Bandyci na plebanii.

(Do illustracyi tytułowej).

Bandytyzm w Królestwie nie gaśnie. Coraz nowe wydarzają się tam wypadki rabunków i mordów, coraz częściej ofiarą rzezimieszków pada mienie spokojnych obywateli, a często ich życie, a bo-



Zgon biskupa żmudzkiego: Ś. p. ks. biskup Mieczysław Pallulon.

daj zdrowie. Władze są wobec tej prawdziwej choroby społecznej wprost bezradne i mimo surowych środków, stosowanych do ujętych bandytów, nie mogą strasznej plagi wyplenić.

Świeżo wydarzył się napad bandycki we wsi Jarosławicach, w powiecie radomskim, gdzie szajka rabusiów napadła na miejscową plebanię. W krytycznej chwili bawił w domu ks. proboszcza Łaskiego jego brat z żoną. Ujrzawszy bandytów, wdzierających się oknem do wnętrza mieszkania, próbował brat proboszcza odstraszyć ich strzałami rewolwerowymi, broń jednak zepsuta odmówiła posłuszeństwa. Ośmieliło to tembardziej bandytów, którzy wdarli się do pokoju i zaczęli szukać łupu.

Wskutek hałasów i krzyków nadbiegło w tej chwili z sąsiedztwa kilku gospodarzy z pomocą napadniętemu proboszczowi i rozpoczęli walkę z napastnikami. Ci zobaczywszy przemoc po stronie włościan, rzucili się do ucieczki i zbiegli z probostwa.

## Zgon biskupa żmudzkiego.

W dwudziestą piątą rocznicę konsekracyi swej biskupiej i wstąpienia na tron biskupstwa żmudzkiego, zmarł przed kilku dniami w stolicy swej, w Kownie, ks. biskup Mieczysław Leonard Pallulon.

Zmarły biskup pochodził z rodziny włościańskiej ze Żmudzi i po ukończeniu seminaryum duchownego w Worniach otrzymał święcenia kapłańskie 1860 r. w Petersburgu. Ukończywszy nadto akademię duchowną ze stopniem magistra teologii, osiadł wnet potem w Kownie, gdzie za zasługi około kościoła katolickiego położone, otrzymał godność prałata domowego papieża i asystenta tronu papieskiego.

Na biskupstwo żmudzkie powołany został przez papieża Leona XIII. w 1883 r. i właśnie w czerwcu br. miał obchodzić uroczyście dwudziestopięciolecie swych rządów w dyecezyi.

Smierć przedwczesna stanęła na przeszkodzie i zabrała kościołowi wiernego a dzielnego syna, dyecezyi zaś ukochanego i wielce zasłużonego duszpasterza.

## Arystofanes na scenie w Tarnowie.

Z małej scenki tarnowskiego „Sokoła" przemówił Arystofanes językiem jędrnym, mocnym i pięknym. Przed oczyma doborowej publiczności przesunęły się typowe postaci jednej z lepszych komedyj autora „Lisystraty", chłoszczącego knutem satyry wady, małostki i grzechy ateńskiego społeczeństwa.

Zasługa przedstawienia należy się młodym. Uczniowie VII. klasy I. gimnazyum w Tarnowie sprawili tamtejszej publiczności prawdziwie artystyczną biesiadę, wystawiając, pomimo technicznych trudności, „Żaby" Arystofanesa w wytwornem i niezwykle poetycznem tłomaczeniu prof. Butrymowicza. Reżyserował prof. dr. Turowski. Uczniowie grali wzorowo.

Na zakończenie należy poświęcić słów kilka tłomaczowi „Żab". Jest nim Bolesław Butrymowicz, prof. I. gimnazyum w Tarnowie, autor dwóch



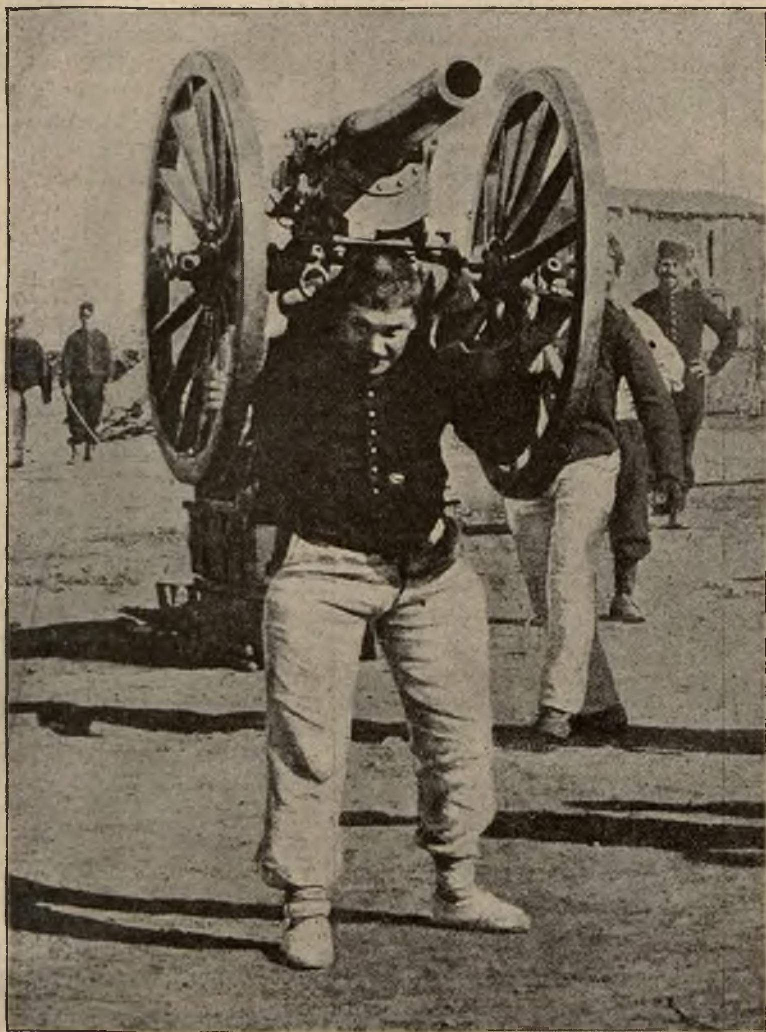
Nowe umundurowanie policyi warszawskiej: Umundurowani według nowego rozporządzenia policyanci.

tomików poezyi, tłomacz łacińskich ód St. Konarskiego. Podjął on się żmudnego dzieła: postanowił przetłomaczyć całego Arystofanesa. Rozpoczął „Żabami", które ukazały się w r. 1906 w sprawozdaniu gimnazyalnem, później w osobnej odbitce. Wykwintny język, oraz wierność tłomaczenia cechują ów przekład. W roku następnym ukazały się „Ża-




Arystofanes na scenie w Tarnowie: Grupa uczniów gimnazyalnych, wraz z reżyserem prof. dr. Turowskim (1) i tłomaczem dzieła prof. Butrymowiczem.

by“ i „Chmury“ wydane razem, w roku zaś bieżącym „Acharny“. Nadzwyczaj pochlebna wzmianka krytyczna dr. T. Sinki, profesora uniwersytetu we Lwowie, jednego z najtęższych filologów współczesnej Polski, pomieszczona w „Eos“ a później w



Niezwykły siłacz Żołnierz francuski, dźwigający działo na barkach.

„Czasie“, świadczy najlepiej o wzorowym przekładzie. Obecnie p. Butrymowicz pracuje nad przekładem „Rycerzy“ i „Ptaków“, które w najbliższym czasie ukażą się w handlu księgarskim.

## Nowe umundurowanie policyi warszawskiej.

W rosyjskiem ministeryum spraw wewnętrznych opracowano, jak doniosły pisma, obszerny projekt reorganizacyi policyi warszawskiej.

Projekt dotyczy reformy wewnętrznej i zewnętrznej. Zaczęto go wprowadzać w życie stopniowo, poczynając oczywiście od umundurowania. Właśnie przed kilku dniami wszyscy policyanci warszawscy otrzymali europejskie czarne peleryny, zamiast wojskowych płaszczy t. zw. „szyneli“. Jest to ubranie i efektowniejsze i... tańsze. Pewien dziennikarz warszawski, rozmawiając zaraz po wprowadzeniu nowego umundurowania z jednym z przedstawicieli zarządu policyjnego w Warszawie, wyraził życzenie, ażeby policyanci warszawscy i pod względem zachowania się i taktu naśladowali policyantów europejskich.

— Wszystko będzie z czasem — pocieszał dygnitarz.

Wzory nowego umundurowania policyi znajdą Czytelnicy na rycinie naszej.



Uwolnienie więzionego bankiera: Bankier Rochette w samochodzie po opuszczeniu więzienia śledczego.

## Niezwykły siłacz.

Najsławniejszych atletów świata całego zdystansował dowodami kolosalnej siły pewien żołnierz francuski, uczestniczący w wyprawie wojennej do Marokka. Niezwykły ten siłacz, który nie przecho-



Życie sportowe w Warszawie: Scena z uroczystości otwarcia »Koła sportowego«.

dził nigdy żadnej szkoły atletycznej, do tego stopnia zdołał sam rozwinąć w sobie siły fizyczne, iż bez zbytnich wysiłków może przez pewien czas maszerować z działem na barkach.

Z natury obdarzony dość znacznemi siłami, potęgował je codziennie przez podnoszenie ciężarów, stopniowo co raz to większej wagi. Naśladował tutaj pewnego bohatera greckiego, który rozpoczął ćwiczenia z nowonarodzonem cielęciem w ten sposób, iz brał je codziennie na plecy i maszerował z niem całą milę. Cielę rosło, nabierając wagi, ale odpowiednio wzrastały i jego siły, tak iż po pewnym czasie mógł obnosić na swych plecach całego woła. W podobny sposób ów żołnierz francuski, służąc przy artyleryi, ćwiczył się naprzód dzwiganiem ładunków armatnich, przechodząc stopniowo od mniejszych do większych.

Nadmienić przytem należy, iż w odróżnieniu od wszystkich cyrkowych atletów, odznaczających się nadmiernem rozwinięciem niektórych mięśni, odznacza się on niezwykle regularną budową całego ciała, przedstawiającego idealny typ mężczyzny.



Z hrabiny księżna: Anna z Gouldów z przyszłym mężem ks. de Sagan wraz z dziećmi z pierwszego małżeństwa.

## Uwolnienie więzionego bankiera.

Za jednego z najsprytniejszych i najszczęśliwszych ludzi paryżanie uważają obecnie znanego bankiera Rochette'a który pod zarzutem wypuszczania akcyi na nieistniejące wcale kopalnie dostał się do więzienia. Jeszcze przed kilku laty był on chłopcem restauracyjnym, zbierającym od gości napiwki, dzisiaj zaś, mimo swego chwilowego więzienia, nie przestał być wpływową osobistością, mającą do swego rozporządzenia miliony, których też użył przedewszystkiem na swe uwolnienie.

Celem odzyskania wolności starał on się przekonać sędziów śledczych, iż trzymanie go w więzieniu przyniesie szkodę tym wszystkim, którzy swe kapitały ulokowali w jego bankach; z tego też powodu domagał się swego uwolnienia.

I istotnie zdołał sędziów przekonać. Po czterdziestu siedmiu dniach więzienia został wypuszczony na wolność za kaucyą dwustu tysięcy franków. Dzień swego uwolnienia może zaliczać Rochette do najszczęśliwszych i najpiękniejszych, na wiadomość bowiem o jego uwolnieniu przed więzieniem Santé zebrała się znaczna liczba jego przyjaciół, którzy wprost na rękach wnieśli go do czekającego już samochodu, przybranego kwiatami. Wielki tłum ludzi, którzy niedawno jeszcze domagali się surowej kary na oszusta, witał go z uśmiechem i przebaczył dawne nadużycia ujęty jego szczęściem i niezwykłym sprytem.

## Uroczystość narodowa w Hiszpanii.

W początkach maja obchodzono w Madrycie w całym szeregu wspaniałych uroczystości wielkie święto narodowe, setną rocznicę powstania narodowego, które wywalczyło pokonanej przez Napoleona I Hiszpanii niepodległość. Od wczesnego ranka niezliczone tłumy ludności, przybyłej ze wszystkich stron Hiszpanii, zaległy rozległe Prado, na którem miała się odbyć rewja wojsk w obecności całego dworu królewskiego, przed pomnikiem wzniesionym dla uwiecznienia tej rocznicy.

Po odbyciu defilady, król Alfons XIII wziął na ręce syna swego, księcia Asturyi, liczącego zaledwie rok życia, i przeszedł z nim przed wojskiem do sztandaru, pod którym przed stu laty walczyli hiszpańczycy powstańcy. Otoczony generalicyą, ciałem dyplomatycznem i dygnitarzami państwowymi, zbliżył się król do chorągwi, którą młodziutki następca tronu objął rękami i następnie ucałował. Powaga aktu tego, w którem królewskie niemowlę przysięgało niejako wierność sztandarowi narodowemu, wywołało wśród zgromadzonych niebywały entuzyazm.



Uroczystość narodowa w Hiszpanii: Król Alfons XIII ze swym synem przed kompanią honorową.



Otwarcie Kortezów w Lizbonie: Emanuel II przed pałacem deputowanych.

# KOLEJARZE.

**Powieść na tle stosunków kolejowych**

napisał

**ARTUR GRUSZECKI.**

28

Spojrzała też nie bez zdziwienia i gniewu na niego. Zarumieniła się z oburzenia, ale zmogła się i siląc się na spokój, spytała:

— Czy wolno wiedzieć, dlaczego odsuwacie się od udziału w wyborze Dyrkowskiego?... Bo, że on został tutaj, jest w pierwszym rzędzie jego zasługą... gdyby był niezdolny i niepożyteczny, nie pomogłaby mu wasza protekcya — kończyła z drwiącym uśmiechem.

— Czy on byłby został lub nie, to rzecz inna... prosząc za nim, chciałem wam zrobić przyjemność.

— Dobrze i to wiedzieć — mówiła oschłym tonem — sądziłam, że wami powodowało uczucie sprawiedliwości i uczciwości... ale mniejsza z tem. Czy przy wyborach staniecie po stronie Dyrkowskiego?

— Ja tu nie głosuję w Horyni — odpowiedział Lerche.

— Bez wykrętów — powiedziała surowo Janka — wiecie dobrze o czem mówię... nie idzie o wasz głos wyborczy, ale o zużytkowanie waszego wpływu i stosunków...

Widząc ją tak rozdrażnioną, obawiając się jej gniewu, rzekł łagodnym głosem:

— Pomówimy o tem... nie wiem... gdyby okazała się potrzeba...

— Powiedzcie otwarcie tak lub nie?

— Ależ nie wiem, czego Janko żądacie?

— Wiecie sami doskonale — uśmiechnęła się drwiąco — idzie o kolejarzy... Wasz przykład, słowa, ośmielają ich i wszyscy staną po stronie Dyrkowskiego.

Lerche przypomniał sobie, że dyrektor polecił gorąco kandydaturę hrabiego, że jego przyjaciel adwokat Kamerski jest rzecznikiem hrabiego. On sam zresztą, jako urzędnik państwowy godził się tylko milcząco, jedynie dla przypodobania się Jance na kandydaturę Dyrkowskiego. Lecz gdy pomyślał, że on, inspektor, miałby agitować wśród urzędników i służby, zalecać wybór przeciwnika rządzącej sfery, poczuł, że byłoby to niemożliwością, narażeniem swego stanowiska, poważania i wpływu.

Nie może przecież ulegać nieustannie jej kaprysom, musi okazać swą samodzielność i stanowczość.

— Jeśli macie Janko na myśli, że będę agitował za Dyrkowskim, to mylicie się — powiedział stanowczym tonem.

— A przyczyna? — spytała na pozór obojętnie.

— I moje zasady i moje stanowisko nie pozwalają mi na to.

— Ha, trudno — uśmiechnęła się z przymusem — obejdzie się bez was, kiedy inaczej nie można.

Nadeszła ciotka i rozmowa zeszła na inne tory.

Po obiedzie tegoż dnia Janka poszła sama na stacyę.

— Co słychać z wyborami? — spytała Stańskiego.

— Nieszczególnie. Był kontrolor ruchu u nas i polecał bardzo gorąco wybór rządowego kandydata.

— A wy, co na to?

— Sam będę głososował za naszym kandydatem za Dyrkowskim.

— A inni?

— Nie wiem... mam służbę i brak mi czasu na agitacyę.

— To ja sprobuję — zawołała rozpromieniona Janka.

— Wy... no tak — uśmiechnął się — wam wolno.

Ten uśmiech nie podobał się Jance, a będąc podrażnioną od rannej rozmowy z Lerchem, spytała śmiało:

— Dlaczego uśmiechacie się dwuznacznie, mówiąc do mnie?

— Tak sobie...

— Powiedzcie szczerze.

— No, więc was osłania inspektor i na agitacyę możecie sobie pozwolić, ale nam nie wolno... nie mamy pleców.

— Czyż to moja wina, że inspektor Lerche mnie proteguje? — mówiła z żalem — nie prosiłam go o to.

— Może i tak... ale fakt, faktem — mówił Stański.

Jeden z urzędników wezwał Stańskiego do aparatu telegraficznego i Janka została sama na stacyi.

Pragnąc agitować, zbliżyła się do rozmawiających przesuwaczy i tragarzy.

Ci przywitali ją z wielkim szacunkiem, bardzo ostentacyjnym, ale po kilku słowach nic nie znaczących oddalili się pod pozorem gorliwości służbowej.

Uwierzyła, że z powodu służby odeszli, a przypomniawszy sobie, że Zgierski jest w magazynie, i tam zwykle bywa dużo ludzi, poszła w stronę magazynu.

I tu kolejowa służba pokornie ją witała. Zgierski z wielką uniżonością podszedł do niej, zamienił słów kilka i bardzo gorączkowo zajął się swą służbą.

Janka spostrzegła, że naprawdę ani Zgierski, ani jego podwładni nie mają tak bardzo pilnego zajęcia, a jednak nadzwyczajnie się krzątają i pracują hałaśliwie.

Podeszła do Zgierskiego, mówiąc:

— Chciałabym porozmawiać z panem, panie Zgierski...

— Do usług... natychmiast — i poskoczył w drugi kąt magazynu, krzycząc na podwładnych za ich powolną pracę.

Po chwili wrócił i ocierając pot z czoła, mówił:

— Bardzo przepraszam, że dopiero przychodzę... ale u nas służba, chwili spokoju niema, człowiek nie może odetchnąć... Sama pani widzi — i nagle zwracając się do posuwających pakę: — hej, ostrożnie, na kant spuszczać! — a potem zwrócił się do Janiny: — pani może poświadczyć, jaka to praca...

— Chciałabym z panem pomówić w sprawie wyborów...

— I co?

— Na kogo pan głosuje?

Spojrzał na nią zdziwiony i rzekł po chwili namysłu:

— Na kogo będą przełożeni głosowali, będę i ja... Hej! Ostrożnie!... Tak proszę pani, ja znam swój obowiązek... a może pani wtrąci dobre słowo za mną, przecież pracuję, jestem sumienny, uczciwy.

Janka zarumieniła się z gniewu i upokorzenia. Nagle zrozumiała, że gorliwość służbowa przesuwaczy i w magazynie, ich szacunek i uniżoność, to tylko wpływ inspektora Lerchego i jej znajomości z nim.

Szybko pożegnała Zgierskiego, który odprowadzając ją, polecał się uniżenie jej łaskawej pamięci.

Nie chciała wracać do domu, gdyż słońce jeszcze było dość wysoko, skierowała się więc ku wodociągom kolejowym.

Za budynkiem, na murawie, ujrzała kilku ze służby kolejowej, odpoczywających i jedzących podwieczorek.

Podeszła ku nim i posłyszała, jak jeden z nich szepnął jej nazwisko.

Wszyscy zerwali się i niskimi ukłonami przywitali ją.

Z pewną trudnością nakłoniła ich, że siedli napowrót i po kilku ogólnikach skierowała rozmowę na wybory.

Patrzali na nią podejrzliwie, a gdy spytała jednego z nich, na kogo odda głos, odpowiedział:

— Co nam do wyborów, to rzecz panów nie nasza, my musimy pracować bardzo ciężko, ażeby wyżyć.

— Ale zawsze będzie lepiej, jeśli wybierzecie swego, co zna pracę, głosujcie na kandydata Dyrkowskiego.

Milczeli przez chwilę, wreszcie odezwał się starszy:

— Nie nasza rzecz wybierać... co znaczy nasz głos?... Jak będą inni głosowali, tak i my będziem.

Napróżno siliła się Janka przekonać ich o korzyści wyboru kandydata Dyrkowskiego na posła, uparli się bowiem przy swem zdaniu, że pójdą za innymi.

Powróciła do domu chmurna i upokorzona. Całe popołudnie straciła i to bezskutecznie, przekonała się tylko, że jej nie dowierzają, że dawne węzły pewnego koleżeństwa zostały zerwane i kolejarze uważają ją teraz za figurę inspektora Lerchego.

Dopiero na drugi dzień rano spotkał ją inspektor Lerche, wyczekujący na nią z wielkim niepokojem.

— Tak dawno nie widziałem was... co robiliście przez wczoraj? — patrzał ze współczuciem na pobladłą jej twarz, zaczerwienione i podkrążone oczy.

— Agitowałam... — przymusiła się do uśmiechu.

— Ależ mizerna jesteście?... Czy wam co brakuje?

— Nie spałam tej nocy.

— A dziś jakie plany?

— Pójdę znowu agitować między naszych kolejarzy.

— Jakiż rezultat był waszej wczorajszej agitacyi?

— Nie wiem... to dopiero początek, zobaczymy dalej.

Jej bladość, noc bezsenna, wzbudziły w nim współczucie, zapragnął oszczędzić jej pracy i po chwili rzekł tonem łagodnym:

— Wiecie Janko, namyśliłem się... i jeśli wam tak zależy na kandydaturze Dyrkowskiego, pomogę wam.

— Nie, nie chcę, wczoraj odmówiliście mi... przekonań swych nie zmienia się tak prędko przez jedną noc.

— Przecież wy mnie znacie... jestem sympatykiem socyalistów, uznaję, że macie dużo racyi... a z czasem pod waszym wpływem przemienię się na prawdziwego socyalistę—uśmiechnął się i chciał ucałować jej rękę.

Wyrwała mu, mówiąc chmurna:

— Wiecie, że nie lubię tego... Ze względu na partyę, która poleca Dyrkowskiego, przyjmuję waszą pomoc, ale zastrzegam się, że nie wymagam tego dla siebie i nie będziecie mieli prawa robić mi wymówek.

— Już dobrze — westchnął — a teraz powiem wam, co zrobić trzeba... Nie macie wy czasem pomiędzy służbą kolejową kogoś dobrego zaufanego?

Janka wspomniała, że dawniej, gdy przyjechała na miejsce, bywała w mieszkaniach niższej służby, a oni rozmawiali z nią chętnie, ale dziś zmienili się stosunki.

To ją rozgoryczyło i na zadane pytanie odpowiedziała porywczo:

— Dawniej miałam, ale od czasu waszych wizyt wszyscy odsunęli się odemnie.

Spojrzał na nią z żalem, tej wymówki nie spodziewał się, lecz przypisując tę odpowiedź rozdrażnieniu, rzekł łagodnie:

— Jeśli wy nie macie nikogo, może Stański znajdzie zaufanego... niechże ten człowiek namowi kilku innych i niech przyjdą do mnie w sprawie wyborów jako delegacya... wyjaśnię im sprawę lepiej...

W tej chwili Janka zapomniała o sobie, przeważyła chęć przysłużenia się partyi. Zrozumiała doniosłość delegacyi i oświadczenia inspektora. Z twarzą rozjaśnioną powiedziała:

— Postaram się o delegacyę... przyjmiecie ją na dworcu... To będzie dobrze, podniesie ich ducha niezależności, będą głosowali jak ludzie wolni... Dziękuję wam szczerze — wyciągnęła rękę do uścisku.

On widząc ją tak rozpromienioną, sam czuł się szczęśliwym i przycisnąwszy do siebie, całował ją szepcząc:

— Jaka ty piękna... jak ja kocham ciebie moja jedyna, najmilsza...

Pozwalała na uściski, ucałowania bez oporu żadnego, wreszcie odsunęła go lekko, mówiąc z uśmiechem:

— Dość tego... dzień przecież, może kto zobaczyć...

— Ale dziś, wieczorem... Janko moja, dobrze? — prosił szeptem gorącym.

Spojrzała na niego z niedostrzegalnym wyrazem znudzenia i odpowiedziała tonem zrezygnowanym:

— Jeśli chcesz koniecznie, to dobrze... ale teraz puść mnie... wiesz, że nie lubię rozpoczynać dnia od pocałunków i pieszczot.

— Wiem, chociaż nie rozumiem przyczyny... będę żył nadzieją szczęścia wieczornego — patrzał w jej oczy.

Nachmurzyła się, odstąpiła krok od niego i mówiła:

— Gatunek twego szczęścia jest bardzo nieszczególny... i nie patrz tak na mnie, nie lubię tych błysków, one zdradzają zwierzęcość.

— Dobrze Janko... zgaszę w sobie pragnienia, nawet oczy zagasiłbym, byle tylko przypodobać się tobie.

— Frazes! — uśmiechnęła się lekceważąco — ale dość tych czułości... pójdę zaraz do Stańskiego, a wy kiedy będziecie na dworcu? — spytała Janka.

— Sami oznaczcie czas...

* * *

Nazajutrz rano o godzinie dziewiątej, stosownie do życzenia Janki, inspektor Lerche był na peronie i przyjął uprzejmie deputacyę służby kolejowej.

W dłuższej przemowie, w obecności urzędników i naczelnika wyjaśnił delegacyi, że według ustawy każdy głosujący posiada zupełną swobodę oddania swego głosu, a każdy przymus, groźbę, przekupstwo, ustawa karze grzywną lub więzieniem.

W czasie tej przemowy kontrolor ruchu, jeden ze zaufanych dyrektora, przyłączył się do grupy urzędników i przysłuchiwał się uważnie wywodom inspektora Lerche.

— Więc pan inspektor pozwala nam oddać głos na Dyrkowskiego — odezwał się jeden z delegatów — bo nam mówiono, że wolno głosować kolejarzom tylko na pana hrabiego... taki rozkaz przyszedł z dyrekcyi.

— Jako inspektor nie mam prawa wam rozkazywać co do głosowania. Ustawa mówi wyraźnie, ażeby każdy człowiek głosował według swego sumienia.

W czasie przemowy inspektora Lerchego i jego odpowiedzi, kontrolor ruchu i naczelnik stacyi zamienili ze sobą znaczące spojrzenia.

Gdy delegacya odeszła, kontrolor rzekł dosyć głośno:

— Panie naczelniku proszę mi wynotować nazwiska tej służby, która pozwala sobie na politykowanie.

Dwóch tragarzy i zwrotniczy posłyszawszy te słowa z ust bezpośredniego naczelnika, szybko usunęli się z obawy, ażeby ich nie wciągnięto na listę.

Naczelnik nachylił się do ucha kontrolora ruchu, który mu przywiózł był polecenie dyrektora, ażeby kolejarze głosowali na hrabiego Mirskiego, i szepnął:

— Wszystko to robi inspektor Lerche dla spodnicy... ach, te kobiety! te kobiety! — westchnął głęboko.

— Czy on zawsze z tą kasyerką? — odszepnął przełożony.

— Coraz gorzej... kompromituje siebie, kompromituje kolej.

Kontrolor podszedł do Lerchego z uśmiechem słodkim i uprzejmym.

— Pan inspektor nawet w czasie urlopu załatwia sprawy kolejowe — mówił ściskając przyjaźnie podaną rękę.

Lerche nie dał się uwieść uśmiechem kontrolora, wiedział, że był nielubiany i że zazdroszczono mu jego wpływu u dyrektora, ale na razie odpowiedział bardzo uprzejmie:

— Urlop nie wyklucza obowiązków.

— Ale jakim prawem ośmiela się służba przeszkadzać panu inspektorowi? O to chytre chamy podstępnie zmusili pana inspektora do wyjaśnienia ustawy. Już ja zbadam tę sprawę i wykryję inicyatorów.

— Rzecz nie warta zachodu i czasu — mówił obojętnie inspektor Lerche — to następstwa agitacyi.

— Ale tego nigdy tu nie było — oburzał się kontrolor — dopiero teraz, gdy zjawili się tu socyaliści i socyalistki — patrzał mu w oczy ze złośliwością — i taki brak poszanowania i niesubordynacyi musi być ukarany.

— Jeśli my odtrącimy zaufanie służby, do kogoż ma się ona zwrócić? — mówił Lerche z pozornym spokojem.

— To nie było zaufanie, to był podstęp niegodny... bo wiedzą dobrze te chamy, że sam pan dyrektor nakazał wybór pana hrabiego... i dojdę sprężyny tej ich bezczelności.

Lerche wzruszył ramionami i rzekł tonem zimnym:

— Nie mieszam się w urzędowanie pana kontrolora ruchu, zrobi pan, co uzna za stosowne i właściwe.

Kontrolor spostrzegł, że posunął się trochę zadaleko i mówił bardzo uprzejmie:

— Ja chciałem tylko zasięgnąć światłego zdania pana inspektora, nic więcej...

Lerche skinął głową i spytał grzecznie o nowiny dyrekcyjne.

Po chwili pożegnał się i wyszedł z dworca. Zrozumiał grę kontrolora ruchu i postanowił zapobiedz niewłaściwemu przedstawieniu swej osoby przed dyrektorem.

Wstąpił do biura fabrycznego, napisał list do Janki, a sam zdecydował się pojechać do dyrektora.

Pociąg z dworca już wyszedł i pojechał nim kontrolor, więc inspektor Lerche siadł do pociągu towarowego za stacyą, bez wiedzy naczelnika stacyi i odjechał.



Zgierski odprowadzając ją, polecał się jej pamięci...

Przyjechawszy do miasta pojechał dorożką do gmachu dyrekcyi kolejowej i zastał jeszcze dyrektora.

— A pan... czy już z urlopu? — spytał tonem urzędowym dyrektor.

— Jeszcze nie, gdyby jednak pan hofrat kazał, staję do służby.

— Nie potrzeba — mówił, prostując się we fotelu — nie chcę przerywać miłego sam na sam — uśmiechnął się złośliwie.

Już wie, pomyślał Lerche, i w obawie o dobrą sławę Janki, powiedział:

— Nie jestem sam na sam z moją narzeczoną, jest ciotka moja.

— A... a... żeni się pan! — zawołał zdziwiony — i to z naszą manipulantką? Co pan mówi? Czy taka ładna i nieprzystępna? — zaśmiał się dyrektor.

Lerche spochmurniał, drażniło go to lekceważenie Janki, a chcąc dać poznać swe uczucia dyrektorowi i ażeby zapobiedz niewłaściwym żartom, rzekł:

— Dla mnie bardzo piękna i kocham ją, tę przyszłą żonę moją.

— Hm... więc to tak — patrzał badawczo, a po chwili dodał: — czy to dla niej ta mowa do służby?

— Zapytany publicznie — objaśniał spokojnie Lerche — musiałem ściśle trzymać się ustawy i jej paragrafów, nie mogłem inaczej jako urzędnik państwowy.

— Tak, to słuszne... ale co zrobimy z delegacyą?

— Mojem zdaniem nie dawać temu rozgłosu... mogą pochwycić opozycyjne dzienniki i wywlec różne sposoby i szacherki wyboru pana hrabiego Mirskiego.

Dyrektor zamyślony kręcił pierścionek ślubny, wreszcie rzekł:

— No, tak... pan ma słuszność, sprawę umorzyć, to najlepiej.

Nacisnął jeden z guzików elektrycznych i rzekł do wchodzącego kontrolora ruchu:

— Żadnego dochodzenia w Horyni, otrzymałem wyjaśnienie.

Spojrzenia obu podwładnych skrzyżowały się ze sobą, jak dwie zimne szpady. Lerche uśmiechnął się tryumfująco, kontrolor kłaniając się nisko, powiedział pokornie:

— Według rozkazu pana hofrata.

— Zapewne zabawi pan dzisiaj w mieście? — mówił dyrektor.

— Miałem taki zamiar — odpowiedział Lerche, stosując się do życzenia.

— Bardzo dobrze... może zajdzie pan do mego biura popołudniu.

— Słucham pana hofrata — ukłonił się i wyszedł.

O ile Lerche był zadowolony ze swej wizyty u dyrektora i winszował sobie, że się tak pospieszył i pokrzyżował plany kontrolora ruchu, tak znów drażniła go konieczność pozostania w mieście, daleko od Janki.

Jego ładne mieszkanie wydało mu się puste, zimne, obce, bo w oczach miał domek w lesie, ciszę wiejską, szum drzew, brzęczenie owadów, odgłosy ptactwa, a w tem otoczeniu ukochaną, wymowną Jankę.

Wyszedł z mieszkania, zdawało mu się, że w gwarze i ruchu miejskim znajdzie jakąś rozrywkę.

Ale miasto go nużyło, ludzie byli mu obojętni, i chcąc uciec z ulicy, wszedł do znanej sobie restauracyi.

Zasiadł sobie przy stoliku do obiadu, ale i wybrane potrawy wydały mu się złe, niesmaczne, bo w oczach miał owe obiady wspólne z Janką, ożywioną rozmowę, jej spojrzenia, uśmiechy. Ta męcząca tęsknota za nią zaczęła go niecierpliwić, starał się drwić ze siebie.

Nie jest przecież młodzieniaszkiem i nie pierwsza to jego miłość, skądże takie rozczulenie, tęsknota... Co za dziecinne pragnienie, ażeby zawsze być przy niej i z nią, Jeden dzień rozłączenia jest przecież niczem w stosunku do życia, które razem przejdą.

Lecz mimo rozumowania, drwin i przekonywania siebie, niepokój wzrastał i siedział chmurny i zamyślony.

Nagle przyszło mu na myśl, że będąc w mieście, może Jance przywieść słodycze, prezenta, książki, wiadomość o matce i rodzeństwie.

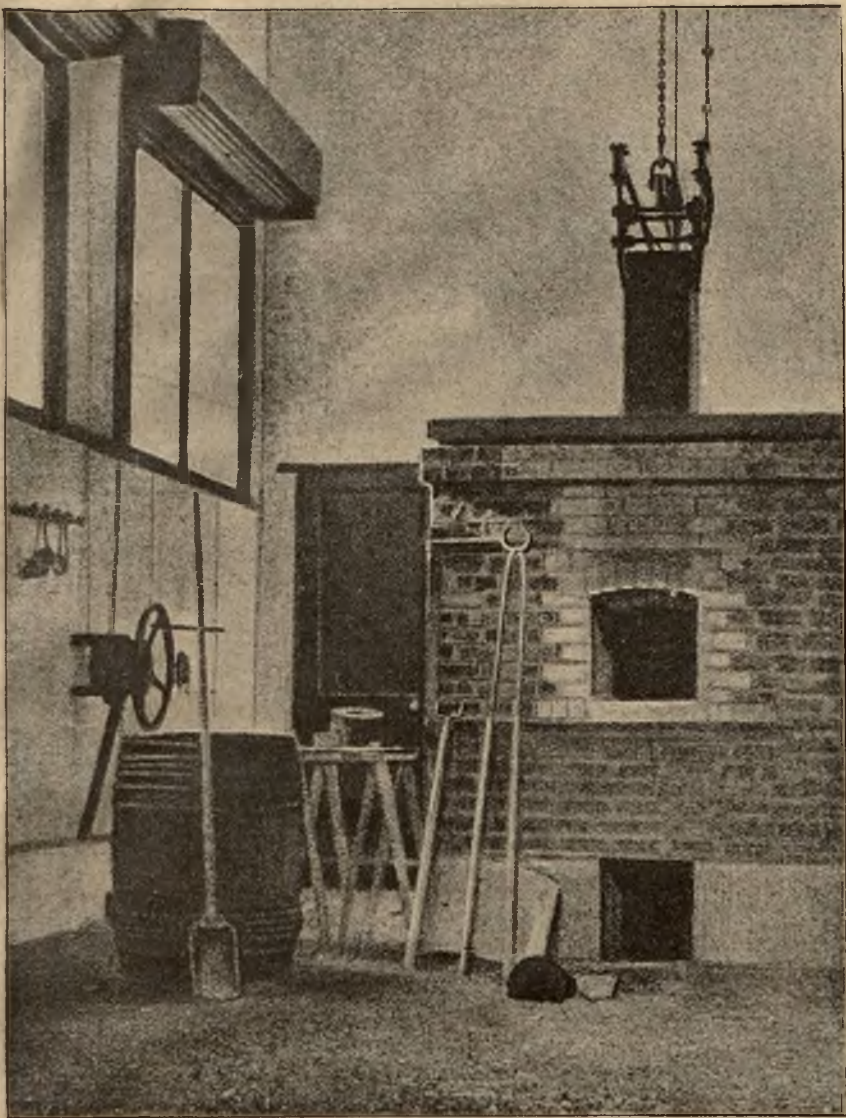
To ożywiło go, wyszedł na miasto, patrzał na wystawy sklepowe. Co jej kupić? co się jej podoba? co ona przyjmie? z czego będzie rada? Miał ochotę kupować wszystko, co ładne, co dobre... Po licznych sprawunkach poszedł do starej Traweckiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Dyamentowa afera.

Sprawa inżyniera Lemoine'a, który ogłaszając swój mniemany wynalazek sztucznej fabrykacyi dyamentów, zdołał wyłudzić znaczniejsze sumy pieniężn[illegible] wchodzi obecnie w nowy okres, o tyle pomyślny dla bohatera afery, iż został wypuszczony z więzienia na wolność. Ponadto Lemoine zdołał przekonać sędziego, przez dłuższy czas przeciwnego choćby czasowemu jego uwolnieniu, iż nie może odkryć nawet w części najmniejszej swej tajemnicy i nie będzie pracował wobec ekspertów, natomiast da inne, a niezbite dowody prawdziwości swych twierdzeń.



Dyamentowa afera: Piec elektryczny Lemoine'a do fabrykacyi dyamentów.

Przyrzeka mianowicie sfabrykować wkrótce dyament cylindryczny t. j. mający formę wnętrza naczynia, w jakiem będzie go robił, mierzący pięć centymetrów wysokości i trzy centymetry w przecięciu. Ponieważ zaś dyament takiej wielkości i takiej formy nie był jeszcze nigdy znaleziony, przeto dostarczenie go będzie właśnie stanowiło dowód prawdziwości jego wynalazku.

Próba ta ma odbyć się wkrótce w pawilonie, położonym koło Saint-Denis, gdzie wynalazca pracował już przed swojem aresztowaniem. W pobliżu tego powilonu, nad brzegami Sekwany znajdują się motory elektryczne, wytwarzające siłę stu tysięcy koni. Wyniku przyszłych prób oczekują wszyscy z niecierpliwością, tak przyjaciele, jak i nieprzyjaciele Lemoine'a, których liczba wzrasta ciągle.



## Echa krwawego mordu.

Sporo już czasu upłynęło od chwili, w której zbrodnicza ręka dzikiego fanatyka szowinisty położyła kres pełnemu zasług życiu ś. p. namiestnika Potockiego, a dotąd straszny ten wypadek tkwi bardzo żywo w pamięci ogółu polskiego. Płyną szeroką strugą datki na żywy i spiżowy pomnik zamordowanego, odbywają się nabożeństwa żałobne za spokój jego duszy, a każda instytucya, każda korporacya poświęca zamordowanemu Namiestnikowi, słowa czci i serdecznego wspomnienia przy sposobności zgromadzeń lub posiedzeń.

A żałobne te głosy odzywają się echem po całym kraju, od zachodnich po wschodnie jego kresy. Niedawno właśnie odbyło się żałobne nabożeństwo za spokój duszy ś. p. Andrzeja Potockiego w Skałacie, w miejscowości położonej tuż nad granicą rosyjską, a udział w niem wzięły nietylko władze, ale i całe obywatelstwo miejscowe i okoliczne, wszystkie towarzystwa polskie, straż pożarna, nadto dziatwa szkolna z gronem nauczycielskiem, oraz zastęp ludu wiejskiego. Z kościoła parafialnego udali się wszyscy na podobną manifestacyę żałobną do miejscowej synagogi.

Zdjęcie nasze przedstawia uczestników żałobnego nabożeństwa, zebranych pod synagogą w Skałacie.

## Śmierć biskupa polskiego w Turcyi.

Duchowieństwo katolickie w cesarstwie ottomańskiem poniosło wielką stratę z powodu śmierci biskupa dyecezyi alessieńskiej w Albanii, najstarszego biskupa katolickiego w Turcyi, a rodaka naszego, ks. Franciszka Malczyńskiego. Przez trzydzieści przeszło lat stojąc na czele dyecezyi alessieńskiej, potrafił sobie zdobyć taką miłość i cześć powierzonych swej pieczy dusz, iż z odległych nawet okolic spieszyły tłumy wiernych, by oddać ostatnią posługę swemu pasterzowi. Wśród ich grona znalazła się i wielka liczba mahometan, którzy od zmarłego biskupa nieraz zaznali pomocy i opieki w czasach ciągłych walk, jakich widownią stała się Albania. W pogrzebie biskupa wzięli też udział przedstawiciele rządu tureckiego, jakoteż wszystkich ambasad zagranicznych.

Biskup Franciszek Malczyński pochodził z Królestwa Polskiego, które jednak po wypadkach 63 roku, zmuszony był opuścić na zawsze. Początkowo przez lat kilka przebywał w Rzymie, skąd został przeniesiony do Konstantynopola, a wreszcie dla pracy misyjnej do Allesio, gdzie znaczna część dyecezyan składa się z nowonawróconych na katolicyzm mahometan.



Smierć biskupa polskeigo w Turcyi: Ś. p. ks. biskup Franciszek Malczyński.

## Hołd dziatwy wiedeńskiej.

Bardzo sympatyczna i prawdziwie wzruszająca manifestacya jubileuszowa na cześć cesarza Fran-



Echa krwawego mordu: Uczestnicy nabożeństwa za spokój duszy ś. p. namiestnika Potockiego, pod murami synagogi w Skałacie.

ciszka Józefa odbyła się w ubiegłym tygodniu w Wiedniu.

Oto tysięczne rzesze dziatwy obojga płci, pospieszyły w odświętnych szatach pod pałac w Schönbrunie, aby złożyć sędziwemu monarsze hołd z powodu jego jubileuszu.

z zastępów swych uformowała kształty liter początkowych imion cesarza i cyfrę 60.

Następnie cesarz zeszedł z terasy do parku i szczerze wzruszony dziękował aranżerom uroczystości za manifestacyę.

W czasie rozmowy z burmistrzem dr. Luegerem wyraził się cesarz w ten sposób: „Dzieci są dla mnie najpiękniejszemi i najmilszemi. Im starszy jestem, tem więcej kocham dzieci“. Istotnie manifestacya ta była imponującą zarówno rozmiarami, jak nastrojem, nic dziwnego też, że wywarła tak olbrzymie i powszechne wrażenie.



**Hołd dziatwy wiedeńskiej:** Pochód najmłodszej dziatwy, sypiącej kwiaty przed terasę pałacu.

Przewieziono te rzesze wozami kolei elektrycznej w liczbie około 900, oraz kilku pociągami kolei miejskiej. Tą drogą dostało się pod pałac schönbruński około 60.000 dzieci, około 20.000 zaś przybyło z bliższych okolic Wiednia pieszo.

Chłopcy mieli na sobie ubrania ciemne, dziewczątka zaś białe sukienki z wstęgami państwa i kraju. W chwili gdy nieprzejrzane tłumy dziatwy zebrały się pod pałacem cesarskim, ukazał się na terasie cesarz z członkami domu cesarskiego, ciało dyplomatyczne, ministrowie i dygnitarze dworscy. Dzieci przy akompaniamencie fisharmonium odśpiewały hymn ludowy, poczem nastąpiła apoteoza. Dziatwa mianowicie tak się ustawiła, że

Mimo troskliwej opieki, jaką dziatwę otoczono, nie obeszło się bez wypadków. Z powodu bowiem ogromnego upału i ścisku, około 800 dzieci zasłabło lub omdlało.

Pogotowia ratunkowe, w tym celu na miejscu urządzone, zajęły się udzieleniem pomocy.

---

# Jubilaci wszechnicy Jagiellońskiej.

Wszechnica krakowska obchodziła w ubiegłym tygodniu dwie niezwykłe uroczystości, w których ucząca się młodzież składała wyrazy czci swym profesorom z powodu obchodzonego przez nich jubileuszu.

Pierwsza uroczystość odbyła się na cześć dra Maurycego Straszewskiego, profesora filozofii ścisłej i pedagogii, który trzydzieści już lat zaszczepia w sercach swych słuchaczów miłość dla czystej wiedzy.

Urodzony w r. 1848 w Rzeszowskiem, po skończeniu gimnazyum i odbyciu wyższych studyów na uniwersytetach w Pradze i Wiedniu, przybył do Krakowa, gdzie habilitował się na docenta filozofii. Po śmierci niezapomnianej pamięci Józefa Kremera, objął po nim katedrę, podtrzymując i rozszerzając świetne tradycye nauki, jaki ten odnowiciel filozofii polskiej pozostawił po sobie. W nowym profesorze młodzież znalazła nietylko kapłana wiedzy, ale i przyjaciela, który siły swe oddał na usługi młodego pokolenia. Młodzież też uniwersytecka, obecna i dawni uczniowie profesora-jubilata w dniu rocznicy uczciła go uroczystym obchodem w pięknie udekorowanej sali uniwersyteckiej. Wzruszony owacyą profesor dziękował ze łzami w oczach za okazaną mu miłość. Była to najpiękniejsza nagroda długoletniej jego pracy naukowej.

Podobna uroczystość spotkała w kilka dni potem dra Wilhelma Creizenacha, który przed dwudziestu pięciu laty został powołany przez wszechnicę krakowską na katedrę literatury i języka niemieckiego. Cześć należy się profesorowi, który w tych trudnych warunkach, kiedy społeczeństwo całe skupia swe siły do walki z niemczyzną, potrafił, rozwijając przed słuchaczami piękności dawnej literatury niemieckiej, zdobyć sobie ich miłość.

Pracując dla młodzieży polskiej stał się jej przyjacielem, oddany całem swem szlachetnem sercem nauce i młodemu pokoleniu.

Urodzony w r. 1851 w Frankfurcie nad Me-



**Hołd dziatwy wiedeńskiej:** Dziatwa szkolna pod terasą pałacu w Schönbrunie.

nem z zasłużonej w literaturze niemieckiej rodziny, po ukończeniu studyów w Getyndze i Lipsku, przybył do Krakowa w r. 1883, gdzie zdobył sobie powszechne poważanie. Tutaj nauczył się języka polskiego, w którym wydał kilka pierwszorzędnej wartości prac literackich. W dniu jubileuszu, gdy profesor zjawił się na katedrze, z której lat tyle wykłada, otoczyło go grono dawnych i obecnych uczniów, wyrażając mu w złożonym hołdzie całą swą miłość i wdzięczność. Dla upamiętnienia tej chwili ofiarowano profesorowi piękną plakietę bronzową, wykonaną przez profesora Raszkę.



Jubilaci wszechnicy Jagiellońskiej: Prof. dr. Wilhelm Creizenach.

## Placówka oświatowa wśród gór.

W zapadłej okolicy górskiej, we wsi Rafajłowej powiatu nadwórniańskiego, założoną została niedawno „Czytelnia polska“, przeznaczona dla szczupłego grona miejscowej inteligencyi i dla robotników, zajętych w tamtejszych lasach.

Rafajłowa leży wśród wysokich, lesistych gór Beskidu wschodniego; olbrzymie przestrzenie lasów, przedstawiających milionowe bogactwo, stanowią własność rządu, pozostają też pod opieką państwowego zarządu dóbr i lasów. Sporo też tam urzędników państwowych, wraz z rodzinami, którzy dotąd pozbawieni byli prawie w zupełności strawy duchowej.

Brakowi temu zaradzić ma świeżo powołana do życia „Czytelnia polska“, zaopatrzona obficie w bibliotekę, oraz w czasopisma. Będzie też „Czytelnia“ ogniskiem życia towarzyskiego. Pamiętano również przy zakładaniu „Czytelni“ o rzeszach robotników miejscowych, dla których zebrano tam także duży zapas popularnych powiastek i dziełek rozmaitej treści.

Grupę członków „Czytelni“ w Rafajłowej, wraz z prezesem p. Mielnikiem, zamieszczamy dziś w „Nowościach“.



Placówka oświatowa wśród gór: Grono członków »Czytelni polskiej« w Rafajłowej; w pośrodku prezes I. Mielnik (X)

## Król belgijski na kuracyi.

Głośny ze swych romansów król belgijski Leopold II, zapada coraz częściej i coraz bardziej na zdrowiu, a że żal mu porzucać ten padół płaczu, żal rozstawać się z tak gorąco ukochanem istotami, jak np. baronowa Vaughan, więc ratuje się wszelkimi możliwymi sposobami, zasięga porady najznakomitszych powag lekarskich, aby tylko ocalić zagrożone życie.

Obecnie bawi celem kuracyi w miejscowości kąpielowej Wiesbaden. A że miejscowość ta położona jest w obrębie państwa niemieckiego, władca jego Wilhelm II nie pominął sposobności, by odwiedzić go i spędzić z nim kilka chwil. Byłby może poruszył przy tej sposobności coś z polityki, ale Leopold II ma wrodzony wstręt do tych spraw, więc spotkanie dwu monarchów miało charakter głównie prywatny.

W Wiesbadenie „naprawia“ Leopold II swą nogę, na którą od dłuższego czasu dotkliwie cierpi. Kuracya postępuje wcale zadawalniająco i siwy król belgijski spodziewa się opuścić uroczą miejscowość kuracyjną za parę tygodni, zupełnie uleczony.



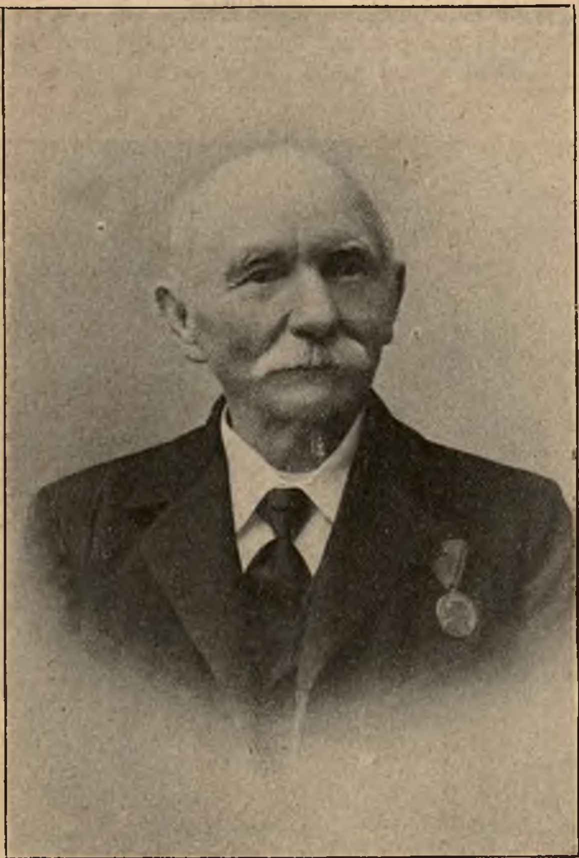
Jubilaci wszechnicy Jagiellońskiej: Plakieta na cześć prof. dr. Creizenacha, wykonana przez prof. Raszkę.



Jubilaci wszechnicy Jagiellońskiej: Prof. dr. Maurycy Straszewski.

## Rzadki jubileusz.

Przed kilku dniami fabryka Karola Strzygowskiego w Białej była widownią skromnego ale wzruszającego obchodu. Mianowicie robotnik wyż



Rzadki jubileusz: Antoni Stwora.

wymienionej fabryki, Antoni Stwora, święcił jubileusz sześćdziesięcioletniej, nieprzerwanej pracy w tej fabryce.

Przed sześćdziesięciu laty Stwora wstąpił do fabryki jako 11 letni chłopiec. Przeszło pół wieku bez przerwy pracy fizycznej, uciążliwej, w tym samym budynku, z temi samemi maszynami — pracy monotonnej, bo zawsze tej samej, to dowód nietylko niespożytych sił fizycznych, lecz także dowód hartu ducha, dowód rzadkiej siły woli a przytem nieposzlakowanego charakteru jubilata. Lata szły, otoczenie, koledzy jego ustępowali, zmieniali się, a on zawsze na swojem miejscu, przy tej samej maszynie, przeżywa dobre i złe chwile wraz z swym pracodawcą. On prosty robotnik, ale pospólne jarzmo pracy łączy go z właścicielem fabryki i chlebodawcą, tak że dziś ten człowiek to nie tylko członek personalu roboczego fabryki, ale poniekąd członek rodziny p. Strzygowskiego, członek kochany i szanowany.

Nie często zdarza się podobny obchód. W Galicyi jest to pierwszy tego rodzaju wypadek.



Król belgijski na kuracyi Leopold II. w alei parku w Wiesbadenie.

## Piękności w trykotach.

Na niezwykle oryginalny sposób zareklamowania swego magazynu wpadł pewien krawiec w Paryżu, gdzie w ostatnich czasach nagość, lub tylko jej złudzenie, wchodzi coraz bardziej w modę. Oto w czasie wyścigów wiosennych w Longchamp, dokąd zjechali się sportsmeni z całego świata, pojawiły się na trybunach wśród widzów trzy damy, w bardzo oryginalnych kostyumach. Ubrane były bowiem w lekkie gazowe, przezroczyste suknie, z pod których widać było w całej pełni kształty ciała.

To też wkrótce zbił się wokoło nich wielki tłum widzów, którzy nie zważając na rozgrywający się właśnie główny bieg, śledził z ciekawością ruchy tych trzech ponętnych niewiast.

Równorzędnie jednak z ciekawością mężczyzn wzrastało oburzenie pięknych Paryżanek. Ponieważ zaś wokoło nagich piękności zebrał się bardzo wielki tłum, żądny bezpłatnego widowiska, musiała interweniować policya i zabrać z placu wyścigów wszystkie trzy panie.

Przy przesłuchaniu okazało się, że są to tylko żywe modele, które wynajął dla reklamy pewien krawiec. Ubrane w cieliste trykoty w przezroczystych sukniach na wierzchu, miały ściągać klijentelę pomysłowemu przedsiębiorcy. Obecnie panie te przez kilka dni spoczywać będą w areszcie, krawiec zaś będzie odpowiadał sądownie.



Piękności w trykotach: Bohaterki skandalu paryskiego podczas wyścigów konnych.

## Francuskie sufrażystki.

Ma Anglia swoją kwestyę kobiecą, ma ją Galicya, ma ją także Francya. Wszędzie walka o równe prawa, a zwłaszcza o prawo wyborcze czynne i bierne. Jak dotąd, spór o równouprawnienie kobiet, nie zapowiada rychłego rozwiązania w żadnym z krajów, spodziewać się więc można jeszcze nie jednego wesołego epizodu w tych zapasach dwu płci.

Ostatnio głośnemi się stały we Francyi nazwiska dwu pionierek ruchu feministycznego, Jeanny Laloë i Maryi Verone. Pierwsza z nich była dawniej nauczycielką, następnie zaś poświęciła się dziennikarstwu i polityce, a przy sposobności wyborów do jakiegoś miejscowego ciała ustawodawczego wystąpiła jako kandydatka.

Ponieważ jednak pewne koła wystąpiły przeciw jej kandydaturze z zasadniczą opozycyą, Marya Verone, adwokatka, wsparła swą przyjaciółkę.

Usilne zabiegi jednak obu przyjaciółek i ich zwolenniczek pozostały bezskutecznymi, ponieważ władze wykluczyły kobiety od praw wyborczych.

Nie pomogły zaciekłym feministkom ich przekonywające zresztą argumenty, nie pomogły piękne oczy i słodkie słówka, i wybór padł na mężczyznę, bo tak kazała ustawa.



Francuskie sufrażystki. Jeanne Laloë i adwokatka Marya Verone.

# Pod grozą śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

1

## Pełnomocnik.

Pewnego wieczoru majowego około godziny szóstej otworzyły się jakoby podziemia u zbiegu największej ulicy Nowego Jorku Broadway i skweru. Tłum ludzi, kobiet i mężczyzn z minami znużonemi, wyszedł na poziom ulicy i rozsypał się we wszystkich kierunkach.

Był to personal wielkiego magazynu nowości F. Steward, który ukończył swoją pracę dzienną; w zakładzie tym według obowiązującego regulaminu musieli wszyscy pobierający stałe płace, czy to kierownicy oddziałów, czy to eleganckie panny sklepowe, chłopcy sklepowi, czy też prości pomocnicy, schodzić do suteren gmachu, gdzie kontrolor wydawał im marki prezencyjne, poczem bocznemi, wąskiemi schodami wychodzili w boczną uliczkę, a stamtąd do swoich odległych mieszkań. Wspaniały bowiem portal z ozdobnymi oknami, wychodzący na główny skwer, nie był przeznaczony dla pracowitych pszczół, lecz służył jako wejście lekkomyślnym motylkom modnym, które żywiły cały ten ul.

Ostatnim z wychodzących był młody człowiek, którego ubranie wyszarzałe nie zdradzało wcale kroju amerykańskiego. Twarz jego — skoro wyszedł na słońce — pokrywała chmura gniewu, po chwili jednak oblicze jego wypogodziło się, a błogi uśmiech okrasił jego usta. Przyczyną gniewu była pedanterya portyera firmy F. Steward, który wodząc wypchaną kieszeń młodzieńca, z gorliwą obowiązkowością obmacał go i stwierdził, że wychodzący nie unosił z magazynu żadnych koronek, lub innych podobnych fatałaszków modnych, lecz niósł do domu dla swej gospodyni pudełko sardynek.

Tylko krótką chwilę trwał ten gniew. Cóż znaczyła ta drobnostka wobec przejść i nieszczęść, które w przeciągu niespełna roku zrobiły z oficera jednego z wyborowych pułków kawaleryi angielskiej, źle płatnego pomocnika amerykańskiego magazynu nowości.

Przed dziesięciu miesiącami Karol Hanbury harcował po wielkich stepach Indyj Północnych — ale niestety — kolosalne wydatki wnet sprowadziły ruinę. Rodzina odmówiła mu pomocy, zmuszony był więc opuścić szeregi armii i wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, chcąc dostać się dalej na zachód. Lecz niestety skutkiem nieszczęśliwego wypadku okulał i był zmuszonym, ratując się przed śmiercią głodową, przyjąć tę marną posadę.

Czynności jego w magazynie polegały na dodawaniu kolumn liczb, oznaczających bilety sprzedaży: nie miały one wielkiego znaczenia, płaca była też odpowiednią. Dostawał ośm dolarów tygodniowo, z czego za wikt i stancyę płacił pięć dolarów.

Przeszedłszy główną ulicę skręcił na Bovery, ażeby najkrótszą drogą udać się do wielkiego mostu Brooklyn; na użycie tramwaju nie pozwalały mu szczupłe fundusze, chodził więc zawsze piechotą — do magazynu i do domu — a korzystając z tego przymusowego spaceru, studyował kosmopolityczne życie tej ruchliwej dzielnicy.

I dziś tak samo jak wczoraj i przedwczoraj, przypatrywał się wystawom sklepowym i mimowolnie przystanął przed składem taniego obuwia. „Trzy dolary para“. Ten napis wywołał u niego bolesne westchnienie — u niego, który swego czasu był w stanie płacić podobną sumę za parę skarpetek.

Westchnął i mruknął. Ciekawe czy sprzedanoby mi pół pary. Odwrócił się szybko od wystawy i w pośpiechu potrącił silnie jakiegoś przechodnia.

Potrącony — blondyn w eleganckim surducie i w kapeluszu ze słomy panamskiej, zatrzymał się na chwilę, dając niedwuznacznie do poznania swoje niezadowolenie.

— Przepraszam najmocniej — rzekł winowajca — byłem tak zajęty swojemi myślami, iż zapomniałem, że na Bowery trzeba uważać na swoje ruchy.

— Pan jesteś Anglikiem — odrzekł wcale grzecznie potrącony. Ja także. Nie uniewinniaj się pan. Jako ziomek pański w obcym kraju, pozwolę sobie zaprosić pana na małą przechadzkę. Innymi słowy — proszę pana na szklankę do tej oto restauracyi.

N. Hambury wahał się przez chwilę, lecz wreszcie ustąpił. Ustępstwo to przyprawiało go o utratę obiadu z góry zapłaconego, lecz rozrywki w jego obecnem życiu były wielką rzadkością, a szklaneczka „whisky“ na stojąco miała swój pewien powab.

Trzeba jednak stwierdzić, iż nie tylko apetyt na „whisky“ wpłynął na postanowienie pana Hanbury, lecz i wspomnienie ojczyzny, które wzbudziły w nim słowa nieznajomego, wymawiane z tak wybitnym akcentem angielskim.

Lokal, do którego weszli, położony w suterynach, pysznie oświetlony, był prawie pusty. Korpulentna Heba przyniosła żądane trunki i przekąski.

Obcy począł przypatrywać się swemu towarzyszowi z takiem zajęciem, iż ten nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Oglądasz mnie pan przy świetle, z bliska — zauważył z pewnego rodzaju wymówką.

— Bardzo blisko. Lecz spodziewam się, iż to pana nie obraża. Pragnąłbym poznać pańskie nazwisko, jeśli to panu nie sprawi żadnej przykrości.

— Hanbury — Karol Hanbury. A pan? — zapytał młody człowiek ujęty prostemi, szczeremi słowami tamtego.

— Proszę mnie nazywać Jevons — odparł zapytany. Uważasz pan, ja nie chcę, ażeby nasza znajomość zaczęła się nieporozumieniem. Otóż dowiedz się pan, iż umyślnie tak się urządziłem, ażeby zostać przez pana potrąconym, i w ten sposób znaleźć okazyę do rozmowy z panem. Od piętnastu dni śledzę pana i odkryłem w nim Anglika i dżentelmena. Przez tyle dni widziałem pana codziennie przechodzącego wzdłuż Bowery. Ja potrzebuję Anglika, któryby był dżentelmenem, potrzebuję go do pewnego interesu, który mu przyniesie małą fortunę.

— Ja nie sądzę, iż pan mogłeś mnie wziąć za kapitalistę — rzekł Hanbury spoglądając ironicznie na swoje wyszarzałe ubranie i wykrzywione trzewiki. Proszę mi wierzyć, jestem dżentelmenem wprawdzie podupadłym, lecz moje szlachectwo istnieje i jestem gotów wyciągnąć zeń zyski handlowe, jeśli panu o to się rozchodzi.

M. Jevons wychylił swoją szklankę i nie rzekł ani słowa — dopóki nie podano świeżych szklanek. Po chwili przysunął swoje krzesło i wyciągnął portfel, wyjmując zeń pięć banknotów studolarowych.

— Zanim się rozejdziemy, pozostawię tę drobnostkę do pańskiej dyspozycyi, jeśli się wzajemnie porozumiemy — powiedział śledząc pilnie wrażenie, jakie ten manewr wywołał u jego gościa.

Widocznie zadowolony z wyniku, który malował się na twarzy tamtego, postanowił jaśniej się wyrażać.

— Chodzi tu o pewną sprawę ryzykowną, ale wcale nie niebezpieczną; jeśli sprawa się uda, los pański zupełnie się zmieni. Otóż uważa pan, część tych pieniędzy użyje pan na opłatę przejazdu do Anglii, naturalnie najbliższym parowcem, a po przybyciu tamże otrzymasz także zasiłki.

— Mój drogi panie — to są bajki z tysiąca i jednej nocy. Naturalnie, znając moje nędzne życie, któremu końca położyć nie mam odwagi, pan nie mogłeś mieć żadnej wątpliwości co do mojej odpowiedzi — powiedział Hanbury więcej zaciekawiony, aniżeli zaniepokojony tem, co od niego miano zażądać. Ah! porzucić ten magazyn nowości! Powrócić do Anglii z pieniądzmi w kieszeni i z nadzieją na pieniądze! Zdawało się naszemu oficerowi kawaleryi, iż dla urzeczywistnienia tych marzeń dałby się nakłonić nawet do kradzieży klejnotów koronnych.

— A więc pakt zawarty — zakonkludował M. Jevons. To, co my chcemy czynić, nie jest wprawdzie całkiem w porządku, nie jest to jednak kradzież z włamaniem. Chodzi o puszczenie w obieg pewnego papieru cudownie sfałszowanego. Czy to pana bardzo przeraża?

Hanbury zrobił grymas i odpowiedział bez wahania:

— Uczestnictwo w fałszowaniu nie jest wprawdzie drogą, którą byłbym wybierał, ażeby dojść do majątku, lecz, hm, nędzarze... pan wie, nie mają wyboru. Społeczeństwo obeszło się ze mną wcale niedelikatnie, nie widzę więc powodu, dlaczego ja miałbym być lepszym i chronić je od szkód. Dobrze, pójdę z panem, a jeżeli mnie złapią, będę tłukł kamienie w Portland. Będzie to mniej więcej taka sama praca jak siedzieć w suterenie i sumować głupie cyfry. Proszę mi udzielić bliższych szczegółów, panie Jevons, a ja oddam na usługi pana moje zdolności, jakiemi mnie nieba łaskawie obdarzyły.

— Będziesz pan miał szczegóły — powiedział zapytany.

Zatrzymał się chwilkę i zaśmiał się nerwowo.

— Proszę uważać dobrze. Ja jestem tylko pośrednikiem w tej sprawie. Teraz dochodzimy do najmniej przyjemnego punktu mojego polecenia. Nie leży w moim charakterze używanie gróźb — nawet w rozmowie prywatnej. Jednak muszę to uczynić, tak mi nakazują moje instrukcye, zanim przystąpimy do dalszych szczegółów.

Pełnomocnik był widocznie zafrasowany, Hanbury jednak uspokoił go z nonszalancyą, właściwą ludziom jego sfery.

— Proszę bardzo! odgadnę, co mi pan masz powiedzieć. To, co mnie czeka, jeśli nie dotrzymam zobowiązania, nieprawda?

Jevons skinął głową na znak potwierdzenia i zbliżając swą twarz zroszoną potem dodał.

— To jest bardzo ważna sprawa — wyszeptał — która wymaga wiele pieniędzy i organizacyi, rozporządzającej potężnymi środkami. Nie ręczę za pańskie życie, jeżeli pozyskawszy nasze zaufanie, opuścisz nas. A więc! czy chcesz je pozyskać pod tymi warunkami, czy też mamy się rozejść natychmiast?

Hanbury wyciągnął niecierpliwie rękę ku dolarom.

— Zechciej pan zaspokoić moją ciekawość — rzekł — i... daj mi to. Przyjmuję wasze warunki. Moje życie nie przedstawia dla mnie żadnej wartości. A jednak, jakkolwiek jestem złym, jednak nie jestem człowiekiem, który potrafi zdradzić. Jeślibym dopuścił się kiedyś czegoś podobnego, zakończcie ze mną swoje rachunki w sposób możliwie humanitarny.

— Dobrze, zgoda — wyszeptał Jevons do jego ucha. Chodzi o puszczenie w obieg fałszywych bonów skarbu amerykańskiego przez bank angielski w wysokości trzech milionów — trzech milionów funtów, nie dolarów — proszę uważać. Pan pojedzie do Anglii na parowcu „Święty Paweł“, który odjeżdża jutro do Southampton. Po przybyciu do Londynu udasz się pan do M. Clinton Zieglera, w hotelu Cecil. On jest naszym szefem, on panu udzieli dalszych wskazówek co do tej części sprawy, którą panu wyznaczono. Zobaczysz pan, iż on umie wynagradzać po królewsku!

— Będzie mi bardzo miło poznać pana Zieglera — odpowiedział Hanbury, zbierając banknoty, które mu Jevons podawał. Czy pan będzie mi towarzyszył?

— Zdaje mi się, że nie. Ja pracuję tutaj — rzekł Jevons. Zresztą, muszę panu otwarcie powiedzieć, pobyt w Anglii nie bardzo mi służy...

Słowom tym towarzyszyło znaczące przymrużenie oka, które wzbudziło w Hanburym przekonanie, iż jego towarzysz należy do ludzi, unikających policyi i sądów. Spostrzeżenie to utwierdziło dalej Hanburego w przekonaniu, iż jego towarzysz, a raczej wspólnik, obdarza go już pełnem zaufaniem.

Po wypiciu jeszcze jednej kolejki, wyszli, pożegnawszy się. Hanbury poszedł w kierunku Brooklynu. Obejrzał się kilkakrotnie poza siebie, ażeby się upewnić, czy nie jest śledzonym, lecz człowieka w kapeluszu panamskim już nie było widać.

Hanbury wywnioskował z tego, iż jego opiekun, czy też wspólnik, już pierwiej wyszpiegował jego miejsce zamieszkania, jako też magazyn, gdzie miał zajęcie.

Przechodząc przez szeroki most, pełen gorączkowego ruchu wielkomiejskiego, nasz ekshuzar z roskoszą wydawał pieniądze ze swojej kieszeni. Mógł teraz sprawić sobie przyzwoitą garderobę — i ujrzy swoją drogą ojczyznę! Piękne te marzenia zakłóciło mu jednak mimowolne pytanie: „Tak — wszystko to będzie za cenę honoru“. — E — stało się.

Co znaczy honor dla pomocnika biurowego — z pensyą ośmiu dolarów na tydzień! Przed dwoma laty byłby napewno inaczej myślał; honor był u niego w wysokiej cenie; teraz, skoro świat cały był przeciw niemu, honor tracił swoją wartość.

Zatopiony w takich myślach wszedł do swego biednego pokoiku na czwartaku, wiedząc, iż skrupulatna gospodyni spóźnionemu przybyszowi obiadu już nie poda i że jego współlokatorzy, jakiś woźnica niemiecki i tragarz irlandzki z przyjemnością podzielili się jego porcyą.

Na małym stoliku, który obok łóżka stanowił całe umeblowanie pokoiku, zobaczył telegram do

siebie zaadresowany, pierwszy, jaki otrzymał od czasu swego przybycia do Ameryki.

Drżącą ręką rozerwał papier, a odczytawszy, zbladł, jak ściana.

Oto treść telegramu:

„Pański stryj i pański kuzyn zostali zabici wskutek katastrofy kolejowej. Proszę natychmiast powrócić do Anglii. Poleciłem telegraficznie firmie Morgan otworzyć panu kredyt do tysiąca funtów.

Pattisons.“

Pattisons był plenipotentem jego rodziny. Położenie jego doznało gwałtownej zmiany. On, który przed kilku chwilami nazywał się Karol Hanbury, od tej chwili był uprawnionym nosić tytuł: Karol August Trevor Fitz-Roy Hanbury, siódmy książe de Beaumanoir, do którego to tytułu był przywiązany dochód roczny 200.000 funtów.

A on był związany, pod grozą śmierci, z bandą, która zamierzała puścić w obieg fałszywe bony w banku angielskim!

### Na pokładzie Św. Pawła.

Święty Paweł płynął pełną parą ku wschodowi. Między pasażerami znajdował się i nasz nowy książę, zapisany w liście pasażerów po prostu jako Karol Hanbury.

Do chwili odjazdu nie widział owego tajemniczego Mr. Jevonsa, niemniej jednak był pewnym, że ten zręczny pośrednik czuwał, lub też kazał czuwać nad nim, aż do samego wejścia na parowiec, a kto wie, może i między pasażerami „Św. Pawła“ znajdował się szpieg, śledzący, czy Hanbury trwa przy umowie zawartej w restauracyi na Bowery.

Hanbury wpisując się na listę pasażerów, z umysłu zataił swoją nową godność, ażeby nie wzbudzać żadnego podejrzenia, by nie wydawało się, iż jedzie on do Anglii po odziedziczony majątek i tytuł, który mógł być łatwo wypisanym w jego metryce śmierci.

Jevons zawierając z nim układ, zdawał się mówić szczere, co groźbę jego czyniło tem prawdziwszą; jego powściągliwość i małomówność co do kary za zdradę, były dowodem, iż groźba ta nie była czczą figurą retoryczną. Rozmyślając nad tem wszystkiem, książę postanowił złożyć wizytę szefowi bandytów w hotelu Cecil; nie tracił nic, o kilka dni później zacznie posługiwać się przynależnymi mu tytułami i godnościami. Wreszcie, gdyby rola, jaką miał odegrać w tej całej sprawie, nie była zbyt niebezpieczną i nie przechodziła jego sił, mógłby się odważyć na jej objęcie, a później zażywać w spokoju dóbr książęcych.

Siódmy książe de Beaumanoir nie odczuwał wyrzutów sumienia, a maksyma: „Noblesse oblige“ nie miała wielkiego znaczenia w jego życiowej filozofii, bardzo a bardzo literackiej.

Na razie postanowienia te uspokoiły go i chciał przy nich wytrwać jak najdłużej. Zresztą wizyta u Zieglera będzie decydującą. Tak jest, pójdzie do hotelu Cecil i tam zobaczy, co ma później uczynić.

— O czem tak myśli M. Hanbury? — usłyszał głos obok siebie, gdy trzeciego dnia podróży stojąc oparty o poręcz górnego pomostu, myślał znowu o swojem położeniu.

Obrócił się szybko i wzrok jego skrzyżował się ze śmiejącemi oczami eleganckiej, szykownej, młodej panny, która była jego sąsiadką przy stole.

Obeszło się bez ceremonii przedstawienia, nazwisko bowiem jego było wypisane na stole, na miejscu dla niego wyznaczonem, stamtąd urocza sąsiadka o nim się dowiedziała; jej zaś nazwisko, jak książe sobie przypomniał, brzmiało: Miss Leonia Sherman.

— Służę pani — odpowiedział z grzecznym ukłonem. — Ja zajmuję się w tej chwili rozwiązaniem kwestyi, jak daleko można czynić złe, w obliczu dobrego?

Była to odpowiedź co najmniej dziwna w obec młodej osoby, znanej dopiero od trzech dni i Miss Sherman spojrzała nań w sposób zdradzający nie tyle ciekawość, ile wielkie zdumienie.

— To zależy — odparła — od tego, czy z dobrego mają odnieść korzyść inni, czy też pan sam?

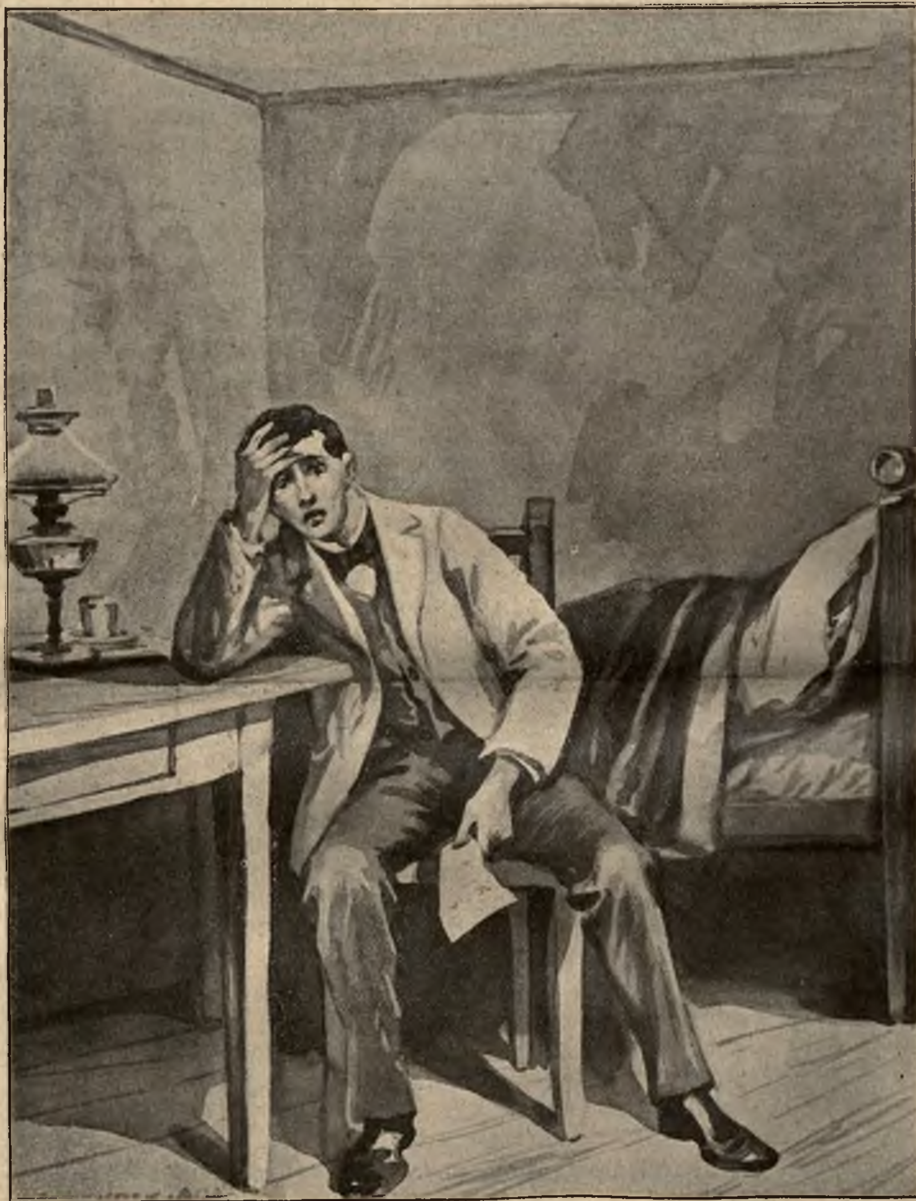
— Ja sam, łaskawa pani — odrzekł. — Nie jestem wcale filantropem, lecz przeciwnie.

— Mojem zdaniem należy wybierać dobre, ażeby uniknąć złego, tu niema czego długo się wahać i długo namyślać.

— Dziękuję serdecznie za naukę — powiedział Beaumanoir.

— A teraz chciej mi pan oszczędzić wyrzutów ze strony matki i przejdź się ze mną — mówiła Leonia, wskazując na majestatyczną damę, która ukazała się na schodach i szukała oczyma córki — ta moja mama jest najlepszą z matek, lecz ma niektóre osobliwsze zapatrywania, na które ja nie mogę się godzić. Matka moja jest przekonaną, że młoda panna amerykańska, która jedzie do Anglii, powinna okazać wszystkie swoje zalety w tym celu, ażeby dostać za męża księcia.

— Rzeczywiście — rzekł wreszcie — dostać



Odczytawszy depeszę zbladł jak ściana...

księcia za męża to wielkie szczęście. Służę pani, zróbmy maleńką przechadzkę, miss Sherman, jeśli pani nie razi mój nierówny chód.

Zmieszali się z innymi pasażerami, używającymi również przechadzki. W ten prosty sposób zawiązała się między tym dwojgiem ludzi przyjaźń tak serdeczna, jak to często dzieje się w podróży między osobami rozmaitej płci. Swoboda i łatwość w obejściu, właściwa dobrze wychowanym Amerykankom, ujęła Beaumanoira; rozmowa prowadzona bez przesadnej wstydliwości, sprawiła, iż książe zapomniał o ciężkich, dręczących go myślach.

Był jej serdecznie wdzięczny, iż myślom jego nadała inny kierunek, a wdzięczność, jaką żywimy dla młodej, pięknej dziewczyny przemienia się z czasem w uczucie więcej subtelne.

Leonię również zainteresował ten młody Anglik, tak tajemniczy co do swego pobytu w Ameryce, jak i co do swoich projektów i zamiarów w kraju ojczystym. Naprożno w czasie przechadzki usiłowała doprowadzić go do wypowiedzenia się, niestety, dowiedziała się tylko, iż przebywał jakiś czas w Nowym Jorku dla załatwienia spraw osobistych i że te sprawy powołują go obecnie do ojczyzny.

O innych zato rzeczach, szczególnie zaś o przyjemnościach, które oczekiwały go w Londynie, bardzo chętnie i szeroko się rozwodził. Młoda dziewczyna nie miała ze swej strony żadnych tajemnic i chętnie mu opowiadała o swoich projektach. Matka i ona udają się do Londynu, ażeby przebyć tam cały sezon u przyjaciół; następnie pojadą na miesiąc do Paryża i do Rzymu, skąd powrócą do Ameryki.

Jej ojciec, senator Sherman, miał im towarzyszyć; sprawy publiczne zatrzymały go jednak w Waszyngtonie, za kilkanaście dni dopiero podąży za nimi do Londynu.

Piątego dnia podróży, gdy „św. Paweł“ zbliżał się do brzegów Irlandyi, Leonia i Beaumanoir wieczorem siedzieli na pomoście, patrząc w mroczną toń morza. Nagle Leonia dotknęła swą ręką ramienia towarzysza.

— Czy widzisz pan tego człowieka, który tam idzie z cygarem w ustach — szepnęła, wskazując palcem między pasażerów, kręcących się wśród krzeseł.

Beaumanoir powiódł wzrokiem w kierunku wskazanym i spostrzegł małego człowieczka, w spodniach brunatnych i w czapeczce podróżnej na głowie.

— Widzę go, czy to ten? — spytał.

Z człowiekiem tym dotychczas ani słowa nie zamienił, ale teraz, skoro zwrócono mu uwagę na niego, zdawało mu się, iż poprzednich dni kilkakrotnie widział, jak ów człowiek nieznacznie za nim się oglądał.

— Ten człowiek szpieguje pana, panie Hanbury! — rzekła Leonia z przekonaniem. Że też pan tego nie zauważyłeś? Od chwili, gdyśmy zaczęli rozmawiać, on usiłuje przybliżyć się i pochwycić nasze słowa. Gdy pan jesteś na pomoście i on tu jest, gdy pan schodzi i on schodzi. Pan zdajesz się być zbiegłym złoczyńcą, a on ajentem śledczym.

Książe zaśmiał się.

— Nie mam powodu uciekać przed sprawiedliwością, miss Sherman, jeszcze nie — dodał w myśli.

Nie mógł wyznać przed tą młodą dziewczyną, iż ów człowiek rzeczywiście go szpieguje, jednak nie w tym celu, ażeby go oddać w ręce sprawiedliwości, lecz przeciwnie, ażeby rzucić go w ramiona występku. Nie wątpił ani na chwilę, iż jego szlachetna informatorka miała racyę, pilnowano go, jak zwierzynę. Nieznajomy zajmował kabinę sąsiednią, był zawsze blisko koło niego, cicho, nieznacznie ale bezustannie.

Tonem spokojnym i swobodnym podziękował Beaumanoir swojej młodej towarzyszce za ostrzeżenie i skierował rozmowę na inne tory.

Powróciwszy zaś do swojej kabiny, zapytał służącego okrętowego o nazwisko swego sąsiada.

Był nim jakiś pan Marker.

— Aha — więc pan Marker spełnia funkcye szpiegowskie, to jest jego zakres działania. Bo chyba nie należy do oddziału łapaczy, którzy mają przeszkodzić mojej ucieczce lub zdradzie, wobec czego nie miałbym tak daleće czego się obawiać.

Książe pogrążony w rozmyślaniach nie udał się na wspólną wieczerzę, lecz usnął wkrótce, marząc o nadobnej swojej opiekunce, uroczej Leonii Sherman.

III.

### Człowiek w niebieskich okularach.

W dwa dni później „św. Paweł“ przybył do Southampton. Beaumanoir tak się więc urządził, ażeby pojechać ze swoimi nowymi znajomymi w tym samym czasie: mieli bowiem jechać razem aż do Waterloo.

Kilkakrotnie zbierała go chęć wyjawienia starej matronie swego prawdziwego nazwiska i tytułu, ażeby tym sposobem wkraść się w jej łaski, mimo iż miss Sherman ciągle była niezadowolona z matki z powodu jej słabości do europejskich tytułów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Zabawa polska w Morawskiej Ostrawie.

Staraniem ruchliwego koła T. S. L. w Morawskiej Ostrawie odbył się w ubiegłą niedzielę w tamtejszym parku Starej Strzelnicy bardzo piękny festyn ludowy, z którego dochód był przeznaczony na cele oświatowe.



Zabawa polska w Morawskiej Ostrawie: Uczestnicy festynu w Morawskiej Ostrawie z typowym »żydkiem galicyjskim« sprzedającym różne »specyalności«.

Dzięki przepięknej pogodzie zabawa wypadła doskonale, gromadząc w pięknym parku nietylko całą Polonię, ale sporo publiczności czeskiej i niemieckiej. Program urozmaicony, pełen wesołych punktów i rozmaitych niespodzianek, zdobył ogólne uznanie. Powszechną wesołość budził typowy „żydek galicyjski“, sprzedający tanio rozmaite „specyalności“, nie mniej podobał się „rej kolarzy“. Nie brakło oczywiście i innych festynowych rozrywek, jak loterya fantowa, kosze szczęścia, konfetti, poczta miłosna, ognie sztuczne i t. d.

Dochód był wcale znaczny, przyczyni się więc poważnie do urzeczywistnienia programu prac koła T. S. L. w Morawskiej Ostrawie.



Zabawa polska w Morawskiej Ostrawie: Grupa kolarzy na festynie wraz z krakowiakiem, kominiarzem i »Antkiem« krakowskim.

## Walki w Marokku.

Pomimo bezustannych knowań niemieckich, położenie Francuzów w Marokku nie tylko nie pogarsza się, lecz prawie z dniem każdym umacnia się, dzięki szczęśliwie prowadzonym walkom. Marokkańczycy, ufni w pomoc dyplomatyczną Niemiec i spodziewając się, że Francuzi będą zmuszeni wskutek tego wkrótce ustąpić, coraz częściej napadali na oddziały francuskie. Los taki spotkał właśnie niedawno oddział złożony z tysiąca i stu ludzi. Pomimo iż pusta zupełnie okolica nie dozwalała spodziewać się nagłego ataku, w obozie założonym na noc przedsięwzięli Francuzi wszelkie środki ostrożności. Ze wszystkich stron obozu czuwały straże i zdawało się, iż noc przejdzie spokojnie.

A jednak nad ranem napadł silny oddział Marokkańczyków z dwóch stron na obóz francuski. Mimo gwałtowności ataku i jego siły, żołnierze francuscy zdołali go po dwugodzinnej walce odeprzeć, przyczem jednak ponieśli dość znaczne straty, mieli bowiem około trzydziestu żołnierzy rannych i zabitych.

Odniesione zwycięstwo zawdzięczają Francuzi mitralieżom na samochodach, które czyniły straszne spustoszenia w szeregach przeciwników.



Walki w Marokku: Polegli w jednej z ostatnich utarczek żołnierze francuscy.

## Z hrabiny księżna.

(Do illustracyi na str. 4.)

Słynna z romantycznych przygód Anna Gould nie przestaje zajmować osobą swoją opinii mieszkańców Paryża, zwłaszcza od chwili przyjazdu swego do Europy i wyjścia zamąż za hr. Boni de Castellane.

Właśnie niedawno stała się bohaterką skandalu, który zakończył się wzajemnem pobiciem się pierwszego jej męża hr. de Castellane i jego przyszłego następcy, księcia de Sagan. Panowie ci są bliskimi kuzynami, pierwszy jednak nie mógł znieść tego, że rozwiedziona z nim żona ma oddać swą rękę, a zwłaszcza swoje miliony jego krewniakowi. Z tego też powodu przyszło między nimi do ulicznej bójki z epilogiem przed kratkami sądowemi.

Wypadkiem tym nie zraziła się jednak amerykańska milionerka, byle tylko za swe dolary zaawansować z hrabiny na księżnę.

Mimo najrozmaitszych trudności, nawet ze strony własnej rodziny, powróciła do Europy, do Neapolu, gdzie oczekiwał jej z niecierpliwością nowy wybraniec serca. Tutaj zakochaną parę i dzieci pani Gould z pierwszego małżeństwa czekały nowe przeprawy, tym razem tylko z ciekawymi dziennikarzami, żądnymi interwiewów.

By uniknąć ich natarczywości, młoda para wraz z dziećmi zeszła bocznem wyjściem z okrętu i tam siadłszy na łódź motorową, odjechała do miasta.




(Młodzież a polityka. — Rada p. Masaryka. — Humorystyczna prasa a demonstracye »burszów«. — Kraków wielkiem miastem. — Gmina a urzędnicy państwowi. — Parasol czy kapelusz).

Na jednem z niezliczonych zgromadzeń studenckich w Wiedniu, poseł czeski dr. Massaryk, wybitny uczony i profesor czeskiego uniwersytetu w Pradze, w mowie swojej podniósł, że studenci nie odgrywają od r. 1848 takiej roli politycznej, jaką odgrywać powinni. Profesor Massaryk oświadczył z naciskiem, że jest rzeczą młodzieży robić politykę. Wywody posła i profesora czeskiego poparli inni mowcy, pomiędzy nimi profeser uniwersytetu wiedeńskiego Schnabel. A mnie się ciągle zdawało, że młodzież uniwersytecka powinna się przedewszystkiem uczyć, a dopiero w drugim rzędzie uprawiać politykę, od której dzisiaj nikt się nie może uwolnić.

Profesor Massaryk wskazuje na rok 1848, ażeby uzasadnić swój pogląd na rolę młodzieży uniwersyteckiej w polityce. Ale rok 1848 był rokiem rewolucyi, a więc „chwilą osobliwą". W ówczesnej walce o wolność brała młodzież akademicka wybitny udział i spełniła chlubnie swój obowiązek, z tego jednakże wcale nie wynika, ażeby studenci mieli uprawiać politykę niejako zawodowo, z krzywdą dla nauki i... ojcowskiej kieszeni. Dostać na pierwszego od rodziców pewną kwotę pieniężną, a potem przez cały miesiąc urządzać demonstracye i rozbijać wykłady, to bardzo wygodna i łatwa rzecz, może nawet wielce pożądana dla pewnych ludzi i pewnych stronnictw, ale przedewszystkiem szkodliwa dla samej młodzieży uczącej się.

Prasa wiedeńska swoją apoteozą nieustających burd, urządzanych przez młodzież niemieckich uniwersytetów, oddaje świadomie złą przysługę i samej młodzieży i jej rodzicom. Nie trudno obliczyć owe krocie tysięcy koron, które w ten sposób idą na marne, nie trudno także obliczyć zupełnie straconą czas, który wedle wyrażenia angielskiego, jest również pieniądzem. Demonstracye studentów niemieckich znajdą swój dosadny wyraz w statystyce egzaminów. Byłoby pouczającą rzeczą porównać liczbę studentów, którzy w bieżącym roku zasiądą do egzaminów, z liczbą kandydatów z lat poprzednich. Z pewnością tego roku mniej młodzieży uniwersyteckiej zasiądzie do egzaminów niż po inne lata, a liczba tych, którzy padną z pewnością wzrośnie stosunkowo. Chyba że dla demonstrantów będą ułatwienia?

Wiedeńska prasa humorystyczna bardzo drastycznie, ale zupełnie trafnie ocenia obecną politykę „burszów" niemieckich. I tak w ostatnim numerze „Figara", wiedeńskiego pisma humorystycznego, znajdują się aż dwa rysunki, będące wyborną illustracyą owej polityki.

Pierwszy rysunek przedstawia pijanego „bursza", któremu trzeźwy kolega daje następującą admonicyę: „Ależ Fryc! Jakże możesz upijać się tak właśnie teraz, gdyśmy się stali kwestyą austryacką. Człowieku, przecież do picia masz dosyć czasu przez cały rok".

Na drugim rysunku pijany „bursz" siedzi w swoim pokoju na podłodze pośród rzeczy, porozrzucanych w nieładzie, i mówi do siebie: „Teraz nie wiem, czy wczoraj byłem w knajpie, czy na demonstracyi za Wahrmundem?"

Browary będą wdzięczne niemieckim studentom. Ale swoją drogą, czy można obwiniać studentów niemieckich, jeżeli były rektor uniwersytetu w Grazu pochwala ich w artykule wstępnym, ogłoszonym skwapliwie przez „Neue Freie Presse?"

Zostawmy „burszów" ich losowi, czy piwu a pomówmy nieco o Krakowie. Otóż wedle tymczasowego obliczenia z ubiegłego tygodnia, miasto nasze ma już bez wojska przeszło 100.000 mieszkańców. Słyszę zewsząd wołania: „Kraków jest wielkiem miastem". Czy tak? Jedni utrzymują, że Kraków jest wielkiem miastem, że widać w nim Europę, drudzy przeciwnie twierdzą, że jest „wstrętnem gniazdem".

Autor niniejszej kroniki pisał już nieraz o tej sprawie i wypowiedział przekonanie, że Kraków nabiera coraz więcej cech wielkiego miasta, ale ma jeszcze liczne wady małomiejskie. Ażeby się zbytnio nie rozpisywać, powtórzę tylko jeden z licznych przykładów naszej zaściankowości. Wszyscy się tutaj znają, wszyscy sobie kadzą w oczy, a wszyscy poza oczy obmawiają się nawzajem na potęgę.

Wiem na pewne, że „radcuś", chodzący od 15 lat codziennie do tej samej kawiarni i siedzący przy tym samym stoliku, wita codziennie swoich znajomych temi samemi słowami: „Pokój temu domowi". A znajomi zapytują go nieodmiennie: „Jakże zacne zdrowieczko?" Wiem dalej, że drugi „radcuś" ma na każdy tydzień osobną seryę dowcipów i wiem, po ilu tygodniach ta sama serya podaną zostanie jako nowość. Przyjaciele słuchają uważnie, jak „radcuś" powtarza odgrzewane dowcipy, dają sobie pod stołem nogami sygnały i śmieją się serdecznie, oczywiście z pana radcy, a nie z jego dowcipów.

Korek szampańskiego, strzelający u Drobnera, odzywa się echem u Wentzla; piąta „bomba" wypita u Kuczmierczyka, wywołuje komentarze u Hawełki, a „koniakowanie" u Kosza natychmiast znane jest u Wołkowskiego lub Aksmana. Istny telegraf bez drutu. Przejedź się na gumach, a możesz być pewny, że nazajutrz przełożony z przekąsem będzie opowiadać, jak to obecnie złote kołnierze chodzą piechotą, albo jeżdżą tramwajem, a jedynastej rangi „rozbijają się" na gumach po mieście.

Skoro wspomniałem o urzędnikach państwowych, to przy tej sposobności przytoczę polemikę, która się wywiązała w pewnem towarzystwie z powodu pytania, czy gmina miasta Krakowa ma obowiązek pospieszyć z pomocą materyalną urzędnikom państwowym celem przeprowadzenia budowy domów mieszkalnych dla tych urzędników. Polemika była ożywiona i zajmująca.

— Gmina miasta Krakowa niema takiego obowiązku — mówił przeciwnik wspomnianej myśli. Urzędnikom państwowym powinno pospieszyć z pomocą państwo, jedynie do tego powołane i zobowiązane, a rzeczą miasta jest tylko troska o dobro urzędników magistratu i służby miejskiej. Urzędnicy państwowi spełniają w Krakowie po największej części nie dla miasta, ale tylko dla powiatu i kraju, gdyż magistrat musi wyręczać państwo i załatwiać mnóstwo spraw, które w miastach, nie mających własnego statutu, załatwiają urzędy państwowe.

— Nie zgadzam się na to — woła obrońca urzędników państwowych. Proszę tylko uwzględnić, ile pieniędzy wpływa do kieszeni właścicieli domów, kupców, rzemieślników i przemysłowców z rąk urzędników państwowych. Proszę popatrzeć, jaki panuje ruch na pierwszego we wszystkich handlach, a jak ten ruch maleje ku końcowi miesiąca. Te krocie tysięcy, które Kraków otrzymuje od urzędników państwowych, są ważną pozycyą w budżecie mieszkańców naszego miasta.

— Bardzo ładnie — odparł właściciel kamienicy. Więc ja mam się przyczynić do budowy domów urzędniczych w tym celu, ażeby stracić lokatorów.

— To też chodzi tutaj o akcyę niejako filantropijną — odparł trzeci uczestnik tej ciekawej rozmowy.

— Nie — zawołał urzędnik państwowy. My nie żądamy łaski, ani filantropii, my twierdzimy i to całkiem słusznie, że gmina ma obowiązek przyczynić się do budowy domów dla nas. Wszakże i my jesteśmy obywatelami miasta Krakowa.

— I ja również — zauważył adwokat. Ale mimo to adwokaci nie mają pretensyi do gminy, ażeby im budowała domy.

Spór na tem tle długo się toczył, ale pozostał nierozstrzygnięty. Obie strony sądziły, że mają słuszność. Byłoby zajmującą rzeczą, gdyby ktoś w prasie codziennej oświetlił należycie tę kwestyę, na co w kronice tygodniowej za mało jest miejsca...

Ubiegły tydzień rozpoczął się strajkiem piekarzy, obecny zaś ogromną i sensacyjną kradzieżą, której ofiarą padł p. Krengel, jubiler, mający sklep w domu pod l. 29 przy ulicy Grodzkiej. Nie będę opisywać tej kradzieży, którą czytelnicy „Nowości" poznają z illustracyi, pragnę tylko zanotować wersyę, która w tej sprawie obiegła miasto. Złodzieje pod otworem, wybitym w suficie sklepu od strony pierwszego piętra, umieścili wedle wiadomości, podanej przez dzienniki, otwarty parasol, do którego wpadało rumowisko, nie czyniąc hałasu. Otóż według wersyi, która obiega miasto, do łapania rumowiska służył podobno nie parasol, ale modny kapelusz damski, zwany kopułą, a odznaczający się ogromem.

Czy to prawda, czy złośliwa bajka, nie wiem, gdyż tylko „relata refero".

*h. j—e.*





## Życie sportowe w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 3).

Po objęciu od Tow. wyścigów konnych placu wystawowego przy ulicy Agrykola, urządziło przed kilku dniami świeżo zawiązane „Koło sportowe" otwarcie stowarzyszenia pod powyższą nazwą. Na akt otwarcia zebrali się przedstawiciele towarzystwa warszawskiego, delegaci towarzystw i klubów sportowych, oraz licznie zaproszona publiczność. Po godzinie 3 i pół, na hasło dane dzwonem, uproszona przez komitet margrabina Eliza Wielopolska dopełniła aktu otwarcia „Koła" przez przywiązanie szarfy do drzewca sztandaru, który wnet podniesiono nad trybunami.

Po ukończeniu tej ceremonii zebrani przeszli z przed namiotów do lóż i przed trybuny, aby obserwować konne skoki przez przeszkody, popisy hippiczne i grę w piłkę nożną, w której wzięła udział młodzież szkolna pod kierunkiem p. Kończyńskiego z Krakowa.

Faktycznie więc „Koło sportowe" rozpoczęło już swą działalność na pięknym i obszernym terenie, na którym łatwo będzie mu urzeczywistnić swe plany, mające na celu wzbudzenie zamiłowania do sportu i hygienicznych rozrywek na świeżem powietrzu.

## Otwarcie Kortezów w Lizbonie.

(Do illustracyi na stronie 4)

Niedawno dopiero po raz pierwszy od czasu zajść w Lizbonie król Dom Manuel opuścił progi pałacu Necessidades, by udać się do starożytnego klasztoru Jeronymos celem uczestniczenia w żałobnem nabożeństwie za spokój duszy swego ojca i brata.

W kilka dni potem król dopełnił uroczystego otwarcia Kortezów tj. parlamentu. Ludność Lizbony dawno nie okazywała monarchom swoim tak gorących uczuć dynastycznych, jak królowi Manuelowi podczas jego przejazdu z rezydencyi do pałacu deputowanych. Niezliczone tłumy publiczności zebrały się na ulicach i witały radosnymi okrzykami ukazanie się króla a artylerya z fortów i okrętów wojennych, dawała równocześnie strzały armatnie. Na progu deputacya posłów i dwór cały oczekiwał na króla, którego w uroczysty sposób wprowadzono do sali posiedzeń. Poprzedzany przez wielkiego ochmistrza ze sztandarem królewskim i infanta Alfonsa, księcia Oporto, trzymającego goły miecz w ręku, wstąpił król po stopniach na tron, z którego odczytał swą mowę. Dygnitarze państwowi zgromadzili się z obu stron tronu, podczas gdy dla ministrów ustawiono pośrodku przed ławami posłów siedm foteli. Mowę swą zakończył król słowami, iż chce „królować tak, jak tego żąda prawo". Po mowie tej, którą zgromadzeni przyjęli radosnymi okrzykami „niech żyje król", powrócił Dom Manuel do pałacu, żegnany w przejeździe przez tłumy publiczności.



## Pożar w Cebrowie.

W majątku dyrektora krak. Tow. wzajemnych ubezpieczeń Michała Garapicha w Cebrowie koło Jezierny, wybuchł 19 b. m. groźny pożar, który zniszczył nietylko kilka budynków, między tymi wołownię, słodownię i dom gorzelnika, wartości 10.000 kor., lecz pochłonął kilkadziesiąt sztuk inwentarza żywego, będącego własnością dzierżawców. Budynki były ubezpieczone w krakowskiem towarzystwie. Przyczyna pożaru do tej pory niewyjaśniona; prawdopodobnie ogień wybuchł w stajni skutkiem czyjejś nieostrożności.

Na miejsce pożaru pospieszyło kilka straży pożarnych z okolicy, akcya ich jednak mogła się ograniczyć tylko do zlokalizowania ognia, objęte bowiem płomieniami budynki nie dały się uratować.

Tak samo nie podobna było uratować bydła, które wskutek przerażenia padło w zupełności ofiarą niszczącego żywiołu. Straszny to był, do głębi wstrząsający widok, kiedy płomienie ogarniały obory, zapełnione żywym inwentarzem. Ryk przerażonego bydła wstrząsał co chwila powietrzem a nie było siły, któraby zdołała obory opróżnić. Spłonęło więc wszystko doszczętnie.



Pożar w Cebrowie: Krowa wzdęta wskutek poparzenia w ogniu



Pożar w Cebrowie: Szereg spalonych na węgiel krów w krowiarni.

---

## Skon francuskiego poety.

Francya utraciła przed paru dniami najwybitniejszego ze współczesnych swych poetów, Franciszka Coppéégo, który przepięknemi poezyami swemi zdobył sobie nieśmiertelne imię nie tylko w dziejach francuskiej, ale i wszechświatowej literatury.

Urodzony w Paryżu 1842 roku jako syn biednego urzędnika, musiał w młodym wieku jąć się pracy zarobkowej i w tym celu wstąpił do ministeryum wojny, gdzie otrzymał podrzędne zajęcie. Po krótkim pobycie przeniósł się do biblioteki senatu na urząd archiwisty, a w kilka lat potem otrzymał zajęcie w „Komedyi Francuskiej“.

Obdarzony niezwykłym polotem poetyckim, bujną fantazyą i wielkiemi zdolnościami rymotwórczemi, od wczesnych lat rozpoczął w wolnych od pracy chwilach pisanie poezyi, których niezwykle kunsztowna forma, oblekająca podniosłe myśli, zwróciła na niego oczy nie tylko Francyi, ale i świata. W krótkim przeciągu czasu stał się głośnym poetą, którego utwory tłomaczono na wszystkie języki, także i na polski. Wogóle wydał przeszło pięćdziesiąt utworów poetyckich, nie licząc dzieł dramatycznych i powieściowych.

Podczas ciężkiej choroby, jaką przeszedł przed kilku laty, z wolnomyśliciela stał się wierzącym katolikiem. Tę zmianę poglądów swych i uczuć opisał w książce: „Piękne cierpienie“. Niedawno znowu zapadł ciężko na zdrowiu i tym razem nie dźwignął się już z łoża boleści. Zmarł w sześćdziesiątym szóstym roku życia.



Skon francuskiego poety: Franciszek Coppée (X) w towarzystwie dr. Duchasteleta.

---

## Sensacyjne obrabowanie jubilera w Krakowie.

Publiczność krakowska została w miniony poniedziałek zaalarmowana wiadomością o niesłychanie śmiałym rabunku, dokonanym w nocy z niedzieli na poniedziałek w sklepie jubilerskim Wilhelma Krengla, mieszczącym się przy ulicy Grodzkiej l. 29.

Sposób włamania się do wspomnianego sklepu jest w szczegółach zupełnie analogiczny z włamaniem się do kantoru bankierskiego braci Eibenschützów przed kilku miesiącami, co wskazuje, że sprawcy poniedziałkowej kradzieży wyszli z tej samej, niewątpliwie dobrej „szkoły zawodowej“. Dostali się oni mianowicie do biura towarzystwa ubezpieczeń „The Gresham“, położonego w ubikacyach I. piętra kamienicy, tam wywiercili duży otwór w podłodze i przy pomocy linki sp-




(Aparatem redakc. W. Lis.)

Sensacyjne obrabowanie jubilera w Krakowie: Front sklepu jubilera Krengla w ul. Grodzkiej, w którym popełniono rabunek. Nad sklepem okna biura Tow. akcyjnego Gresham, gdzie złoczyńcy zrobili wyłom w podłodze.

ścili się do lokalu sklepu. W sklepie rozbili swoją „metodą“ kasę ogniotrwałą i wybrali stamtąd mnóstwo drogocennych precyozów, wartości około 30.000 kor., nadto gotówką 600 kor.

Złodzieje „pracowali“ systematycznie i z wielkim sprytem, musieli zaś znać się dobrze na bižuteryi, wybrali bowiem same najkosztowniejsze przedmioty, zostawiając tańsze na ladach. Obłowili



(Aparatem red. W. Lis.)
Sensacyjne obrabowanie jubilera w Krakowie: Wnętrze sklepu jubilera Krengla. W suficie widoczny wyłom zrobiony przez rabusiów, którym po linie spuścili się do sklepu.



Ujęcie bandyty w Krakowie: Antoni Janosek.

się przedewszystkiem nieoprawionymi brylantami, których bardzo dużo znajdowało się w kasie ogniotrwałej.

Podziwiać też trzeba pewnego rodzaju złodziejską nonszalancyę, z jaką wartościowe kamienie i dużo drogocennych przedmiotów porozrzucali po podłodze, tak iż walały się potem wśród kurzu i rumowiska.

Z powodu pośpiechu, z jakim musieli kończyć swe zadanie, pozostawili też sporą część najbardziej wartościowych precyozów w pudełkach; przyczyną tego była okoliczność, iż owe pudełka otwierały się z dwu stron, o czem złodzieje nie wiedzieli. Po wypróżnieniu jednej strony, odrzucali pudełka na bok, nie przeczuwając, iż po drugiej stronie jest jeszcze tak samo wartościowy łup.

Po obrabowaniu sklepu, złodzieje tą samą drogą wrócili do biura towarzystwa „The Gresham“, tam wypili dwie flaszki piwa i posilili się wędlinami, oczyścili rzeczy przyniesioną ze sobą szczotką, a buciki „krajową“ pastą, następnie zaś wynieśli się z kamienicy, przez nikogo nie widziani.

Łatwo wyobrazić sobie przerażenie kupca Krengla, gdy następnego dnia rano wszedł do sklepu i ujrzał ponury obraz spustoszenia. Zawiadomiona natychmiast policya rozpoczęła śledztwo za sprawcami włamania; porozpisywano depesze do miast zagranicą i w państwie z opisem skradzionych przedmiotów oraz domniemanym rysopisem złodzieji. Byli nimi prawdopodobnie dwaj młodzi, elegancko odziani izraelici, którzy w ubiegłym tygodniu oglądali w sklepie Krengla rozmaite przedmioty.

Bardzo charakterystyczny dla „psychiki“ złodziei owych jest także ten fakt, iż nie naruszyli zupełnie kasy, mieszczącej się w biurze towarzystwa „The Gresham“, choć i tam mogli się spodziewać obfitego łupu. Woleli pracować ciężko nad wywierceniem otworu w podłodze, woleli spuścić się do parterowej ubikacyi sklepowej, gdyż tam liczyli na pewniejszy i sutszy połów.

## Bójki studenckie w Gracu.

Na uniwersytecie w Gracu, stolicy Styryi, gdzie wśród studentów wolnomyślnych i katolickich oddawna toczyły się zawzięte spory i walki, zaostrzyły się stosunki zwłaszcza z powodu niedawnej sprawy prof. Wahrmunda; w następstwie przyszło niedawno do kilku ostrych starć między burszami liberalnymi, a członkami katolickich związków studenckich.

Za powód do ostatniego zajścia posłużyła promocya doktorska akademika Aldriana, należącego do związku katolickiego „Carolina“. Członkowie tego stowarzyszenia postanowili w uroczystości wziąć gremialny udział z odznakami swego związku. Natrafiło to na opór ze strony burszów, których zdaniem związki katolickie, nie uznające pojedynków, nie mają prawa nosić emblematów, symbolizujących gotowość do rozprawy honorowej z bronią w ręku. Przed rozpoczęciem promocyi zebrali się w gmachu uniwersytetu w znacznej liczbie burszowie i zamierzali powitać swych przeciwników co najmniej szyderczymi pieśniami i okrzykami. Zanim jednak ci przybyli, zjawił się nagle na placu uniwersyteckim zastęp katolickich chłopów styryjskich w liczbie dwustu pod przewodnictwem klerykalnego posła Hagenhofera. Chłopi usiłowali wtargnąć do uniwersytetu. Bursze wzbronili im przystępu, a także przywołany przez nich rektor Hildebrand sprzeciwił się dopuszczeniu ich do auli.



Sensacyjne obrabowanie jubilera w Krakowie. Rozbita kasa w sklepie W. Krengla.

To dało hasło do walki, która toczyła się na laski, kije, kamienie i pięści, tak iż liczba poturbanych i rannych jest dość znaczna.

Dopiero po godzinie udało się policyi oddzielić przeciwników, przybyłych jednak chłopów nie dopuszczono do uniwersytetu. Rektor dla zapobieże-

nia dalszym rozruchom odłożył promocyę na kilka dni, ogłaszając, że na przyszłość odbywać się one będą bez udziału publiczności.

Zajście w Gracu przypomina żywo pamiętną burdę hajdamacką na uniwersytecie lwowskim, z tą jednak różnicą, że studenci niemieccy nie rzucili się ani na profesorów, ani na sprzęty w auli, nie niszczyli też portretów ani odznak rektors'kich. Bo i ów napad studentów ukraińskich we Lwowie odbył się tuż przed promocyą doktorską kilku akademików i także ją na przeciąg kilku dni uniemożliwił.

Obecnie panuje na uniwersytecie w Grazu zupełny spokój i nauka toczy się tam w normalnych warunkach.

## Józefina Carnioli.

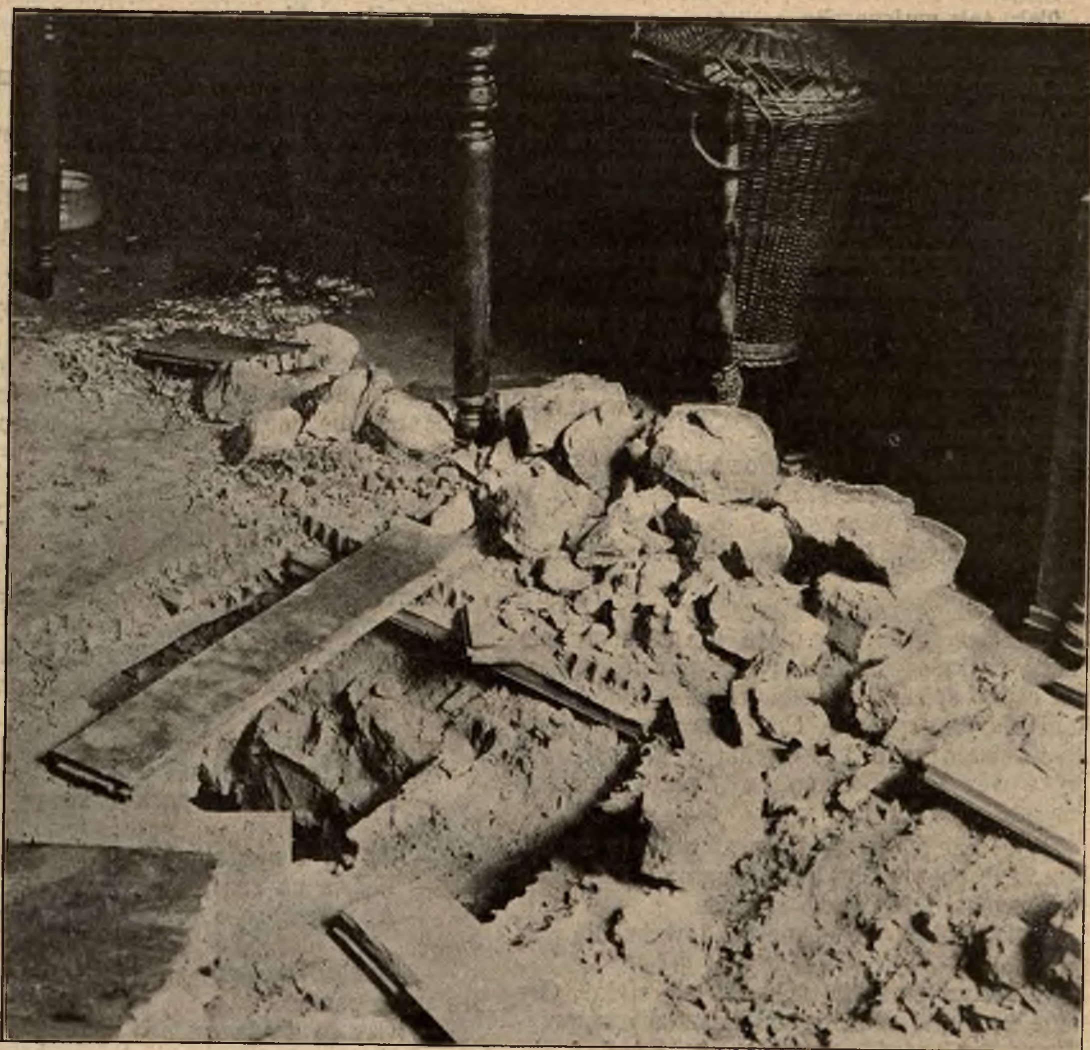
W ubiegły poniedziałek odbył się w Starym teatrze popis szkoły śpiewu prof. Horbowskiego, z udziałem jednej z pierwszych uczenic zasłużonego profesora, jeszcze z czasów jego pobytu w Warszawie, p. Józefiny Zapałkiewiczówney-Carnioli, artystki operowej.

Publiczność krakowska miała już niejednokrotnie sposobność zachwycać się pięknym z natury głosem mezzo-sopranowym uroczej śpiewaczki, która w ciągu swej karyery artystycznej zdobyła w rzędzie polskich artystek jedno z pierwszych stanowisk.

P. Carnioli jest Warszawianką, a po ukończeniu studyów rozpoczęła karyerę artystyczną na scenie Skarbkowskiej we Lwowie, poczem śpiewała w Gracu, Warszawie i Moskwie, następnie zaś bawiła kilka lat zagranicą, przeważnie we Włoszech. Wszędzie cieszyła się ogromnem powodzeniem, zasłużonem nietylko ze względu na głos przepiękny, ale i znakomitą szkołę.

Także w popisie poniedziałkowym występ pani Carnioli stanowił główną atrakcyę, a utalentowanej śpiewaczce zjednał dużo oklasków i wyrazów uznania.

Z tej uczenicy oraz z zastępu reszty wychowanków swej szkoły może być prof. Horbowski prawdziwie dumny. Popis tegoroczny udowodnił znwou, jak zasłużoną jest dobra sława, metodę tego znakomitego pedagoga otaczająca.



Sensacyjne obrabowanie jubilera w Krakowie: Otwór w podłodze biura »The Gresham«, którędy zło dzieje dostali się do sklepu.



Bójki studeckie w Gracu: Bursze niemieccy walczący z studentami katolickimi na podwórzu uniwersytetu.



Józefina Carnioli.

# BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

**Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.**

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

10 Ciąg dalszy.

XIV.

Ella Gerlach stała w swoim pokoju przy oknie i spoglądała w ogródek, smutna, zamyślona i nie słyszała nawet, jak drzwi otworzono, jak weszła Sandtnerowa.

— Dzień dobry Ello — rzekła pani Marya i siostrzenicę męża ujęła serdecznie za ramię. Stęskniło mi się za tobą, za twoim uśmiechem. Widzę, że jesteś jakaś zamyślona, czy smutna. Cóż to takiego?

— To nic wujeneczko. Wspomnienie tego nieszczęścia, takie uparte.

— Moje dziecko, trzeba się oswajać z tą prawdą, że życie ludzkie nie jest ani zabawą, ani salą balową, ale trudem, niekiedy cierpieniem.

— Wiem o tem, wie o tem każda sierota.

— O sieroctwie nie mów, boć przecież jesteś mi jakby własna córka. To rzekłszy popieściła pani Marya Ellę prawdziwie po macierzyńsku, a dziewczyna tuliła się do wujenki i rzewnie zapłakała.

— Nie płaczże dziecko, bo przychodzę do ciebie z wesołą wiadomością. Jest tu ktoś, coby cię rad odwiedzić, ale wpierw wstąpił do mnie.

Ella otarła łzy i słuchała ciekawie.

— Nie domyślasz się wcale? Młody, przystojny mężczyzna... I teraz się nie domyślasz?

Ella uśmiechnęła się.

— A widzisz, serduszko twoje przeczuwa. Oto pan Costa przyszedł oświadczyć się o twoją rękę, a ja mu powiedziałam, że ty sama dasz mu odpowiedź. Ciekawa jestem co mu odpowiesz?

— Jestem szczęśliwa. Ja go bardzo, bardzo...

— Kocham. To chciałaś powiedzieć?
— Tak, tak wujeneczko.
— A więc niechże to sam usłyszy od ciebie. Chociaż nosimy żałobę, przecież pobrać się możecie. Smutno mi będzie bez ciebie, ale mnie twoje szczęście będzie pocieszało. Ale, ale, zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że ujęto mordercę twego wuja.
— Boże święty! — zawołała przerażona.
— Czemuż cię to tak przeraża?
— Nie, nie wujeneczko, to nie przerażenie, to tylko bolesne wspomnienia. Któż to taki?
— Jakiś urwisz, znany dobrze policyi z włóczęgostwa. Zowią go Fredi. Nazywa się Warneck. Podobno znaleziono dowody, bo czarną maskę i pulares twego wuja, ten sam, na którym wyhaftowałaś złoty monogram.
— I cóż uczynią z tym człowiekiem?
— Będzie na śmierć skazany.
— To straszne.
— Moja droga, taki bywa koniec każdego mordercy.
— A jeżeli on jest niewinny?
— Przecież są dowody. Ale nie smućmy się jego dolą, na którą zasłużył. Idę powiedzieć Coście, aby do ciebie spieszył po odpowiedź.
Pani Marya popieściła Ellę i wyszła, a dziewczyna załamała ręce i westchnęła głęboko. Za chwilę wpadł Costa uradowany, rozpromieniony i wyciągnął ręce ku Elli.
— Ella! moja ty najdroższa, moja ty najcudniejsza. Ale co to? Tyś taka smutna? Co ci się stało? Powiedz, jeżeli mnie kochasz.
Ella nie zdołała się opanować i wybuchła płaczem.
— Zaklinam cię Ello, mów, co się stało? Czy mnie nie kochasz? Może wyrządziłem ci jaką przykrość?
Zaprzeczyła ręką.
— A więc wyznaj mi, ja podzielę twoje cierpienia, ja cię pocieszę.
— Ja ciebie nie jestem godną, ja niegodziwa, ja...
— Co ty mówisz? opamiętaj się. Nie, ty jesteś chora, bardzo chora.
— Nie, nie. Zdrowa jestem zupełnie, ale ja wiem, że na twą miłość nie zasługuję. Słuchaj, ja ci powiem wszystko, wszystko.
Costa struchlał i wpatrzył się na Ellę ze zdumieniem. Straszne przypuszczenia nasunęły mu się do głowy. Ella stłumiła łkanie, otarła łzy i wysilała się na spokój.
— Czy ty mnie prawdziwie kochasz? — zapytała spokojnie.
— Czyż nie wiesz o tem? Kocham cię bardziej, niż własne życie.
— A więc zbierz siły, słuchaj i nie przeraź się tem, co usłyszysz.
Costa zaparł dech w piersi z niepokoju i zdumienia.
— Powiedz mi, co się stanie z człowiekiem, którego posądzają o morderstwo?
— Zostanie na śmierć skazany — odpowiedział Costa z większem jeszcze zdziwieniem, nie mogąc pojąć, co to wszystko znaczy.
— A jeżeli ten człowiek niewinny, a mimo tego podejrzenie go obarcza?
— Nie pojmuję wcale, co te pytania znaczą.
— Dowiesz się na czas o wszystkiem, a teraz odpowiadaj mi tylko na pytania.
— Dobrze, dobrze, spełnię wszystko, czego sobie życzysz.
— Czy jest moim obowiązkiem wykazać, że ów posądzony o morderstwo, nie popełnił go wcale?
— Jeżeli wiesz na pewno, to oczywiście obronić niewinnie posądzonego należy.
— Choćbym i siebie samą oskarżyć przytem miała?
— Ale cóż znowu, co to za fantazye?
— Nie, nie. Mówię prawdę. Oskarżyć się muszę, bo znam mordercę, a zataiłam to i niewinnego uwięziono.
— Przecież nie stałaś się przez to wspólniczką zbrodni i niemasz powodu oskarżać się, poczytywać się za niegodziwą, niegodną mojej miłości. Oj, Ello, Ello, jaka ty dobra, szlachetna w tej surowości dla siebie.
— A więc nie pogardzisz mną?
— Co też ty mówisz? Tylko jeszcze bardziej uwielbiam cię od tej chwili.
— A więc idę do policyi ocalić niewinnego.
— Ja cię na krok nie opuszczę.

XV.

— Czem pani mogę służyć? — zapytał sędzia Maran, gdy Ella weszła do biura
— Chciałam pomówić w sprawie morderstwa mojego wuja — odpowiedziała z wysileniem.
Maran nie mógł powstrzymać się od lekkiego uśmiechu zadowolenia i tryumfująco spojrzał na komisarza.
— W takim razie pozwoli pani, aby i pan komisarz Haller był przytem.
— I owszem, bardzo o to proszę.
Maran podsunął Elli krzesło; usiadła gorączkowo i zaczęła mówić z pośpiechem:
— Dowiedziałam się od wujenki Sandtnerowej, że ujęto człowieka, posądzonego o zamordowanie mojego wuja.
— Tak pani, istotnie.
— Któż to jest, jeżeli wiedzieć mi wolno?
— Ferdynand Warneck, zwany pospolicie: Fredi.
— Co się z nim stanie?
— Będzie na śmierć skazany.
— A jakież są dowody, że on popełnił zbrodnię?
— Znaleziono przy nim czarną maskę i pulares wuja pani.
— Czy to wystarczające dowody?
— Niezawodnie.
— A czy on się przyznał?
— Zapiera się stanowczo i wykręca, że znalazł i maskę i pulares.
Maran namyślał się, kręcił łańcuszek od zegarka i patrzył wyczekująco na Ellę, ale ona przerwała i zamilkła. Maran czekał na dalszy ciąg opowiadania, a nie mogąc się go doczekać, zapytał wyraziście:
— Dlaczego pani wątpi, że ów Ferdi jest mordercą?
— A dlaczego pan w to wierzy?
— Bo są dowody.
— Tylko przypuszczenia.
Gorączkowy ton rozmowy i zacięcie polemiczne Elli, rozdrażniły nieco sędziego, ale zachował spokój, nie okazał rozdrażnienia, przewidując, że stan psychiczny dziewczęcia jest w tej chwili podniecony, napięty. Pozwalał też zadawać sobie pytania, odpowiadał na nie spokojnie.
— Dlaczego pan w to nie wierzy, że ów człowiek znalazł owe przedmioty?
— Wierzyć w to nie można.
— A ja wierzę.
— Nie mogę tego pani zabronić.
— Mogę zaświadczyć, że ten człowiek wuja mego nie zamordował.
— Świadectwo pani bardzo cenne, ale nie wystarcza.
— Jakto? Czyż nie zasługuję na zaufanie?
— Najzupełniej, ale to nie dosyć dla sądu. Pani może się mylić.
— Nie mylę się, bo wiem dobrze, kto jest mordercą i nie mogę dopuścić, aby niewinny człowiek cierpiał i na śmierć został skazany.
Maran wysilał się teraz na spokój i obojętność, aby nie spłoszyć rozgorączkowanej dziewczyny, a niecierpliwość, ciekawość miotały nim silnie.
— Skoro pani zna mordercę, proszę go wskazać...
— Czy to konieczne? — zapytała Ella głosem słabym, złamanym, a na jej twarzy pojawił się wyraz strasznej boleści.
Spostrzegł to Maran i żal mu było biednej; domyślał się, że ma wskazać kogoś bliskiego sercu, ale nie urwał badania i rzekł ze współczuciem:
— Niestety, konieczne.
— Czyż nie wystarcza, gdy zeznam pod przysięgą, że ów człowiek uwięziony wuja mego nie zabił?
— Nie pani.
— A więc muszę powiedzieć wszystko?
— Wszystko.
— A więc... niech się dzieje wola Boża... niewinny cierpieć nie powinien... Boże! Boże! aby ocalić niewinnego, muszę oskarżyć własnego brata! Mój brat... Eyik... za... bił... wuja.
Ella zemdlała.
Posłano natychmiast po lekarza. Costa, który czekał na Ellę w przedpokoju, wpadł przerażony i załamał ręce. Obaj urzędnicy nie stracili przytomności i cucili omdlałą. Lekarz przybył prędko, poczynił należyte zabiegi i biedna dziewczyna odzyskała wkrótce przytomność, ale osłabiona była, przygnębiona.
— Niech pani uda się teraz do domu, wypocznie, a jutro dokończymy — rzekł sędzia.
— O! nie, nie. Wolę teraz, niech się to raz skończy — odpowiedziała Ella ze łzami.
— Dla uspokojenia pani, opowiem, żeśmy już o tem wiedzieli cokolwiek. Brat był u pani w pięć dni po nieszczęściu. Zaprzeczał wszystkiemu Pani pokazywałaś mu list, w którym pisał, że to śmiercią się skończy, dałaś mu pieniędzy na ucieczkę, a on wciąż przeczył, jakoby wuja zabił.
Ella spojrzała na sędziego z osłupieniem.
— Jak pani widzi, wiemy bardzo wiele.
— A dlaczego niewinny uwięziony?
— Bo nam brakowało zeznań pani.
— Więc teraz?
— Zostanie wypuszczony z więzienia.
— Dzięki Bogu, że kara niewinnego nie dotknie.
— Jeżeli to pani nie zmęczy, poproszę jeszcze o wyjaśnienie, jak się to stało?
— I owszem, powiem, wolę odrazu. Oto wuj wziął nas obojo do siebie i kształcił Eryka do zawodu handlowego, ale on nie miał w tem upodobania. Raz i drugi dopuścił się lekkomyślnych wybryków, a gdy upomnienia nie skutkowały, wuj usunął go z domu. Eryk wdał się w złe towarzystwo, zapominał się coraz bardziej, upadał moralnie, aż wreszcie odarty ze wszystkiego, bez żadnych środków do życia, wałęsał się po mieście. Przygnieciony nędzą, udawał się kilka razy o pomoc do wuja, ale daremnie, bo wuj nawet słyszeć o nim nie chciał. Wreszcie napisał do mnie list, o którym pan wspomniał i zaklinał, abym mu ułatwiła zobaczenie się z wujem. Nie mogłam tego odmówić bratu i wpuściłam go do kancelaryi, a było to na kilkanaście minut przedtem, zanim Costa przyniósł mi straszną wieść, że wuj zamordowany. Eryka już nie widziałam. Wyobrażam sobie, że wuj odmówił mu pomocy, że go może i zgromił, a biedny Eryk, w przystępie szalonego uniesienia, dopuścił się tej strasznej zbrodni.
— Gdzie brat teraz przebywa?
— Niemam pojęcia o tem.
— Bardzo dziękuję za te wyjaśnienia. Muszę pani wyrazić cześć prawdziwą, że wolałaś własnego brata obwinić, niż mieć krew niewinnego na sumieniu.
Ella wyszła, wsparta na ramieniu narzeczonego, a gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, rzekł sędzia Maran:
— Co? nie miałem słuszności? A widzi pan, kochany komisarzu, że mnie kombinacye nie omyliły...
— Omyliły kombinacye i pana i tę biedną Ellę. Eryk Gerlach nie jest mordercą, chociaż własna siostra o to go posądza.
— A! co do tego, to już nie rozumiem, jak można wątpić w sprawę tak jasną?
— A ja wątpię i nie zaniecham dalszego dochodzenia.
— W takim razie będziemy działali każdy na własną rękę.
— Zapewne. Pójdziemy różnemi drogami do jednego celu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).



## Ujęcie bandyty w Krakowie.

(Do illustracyi na stronie 16.)

Niebezpiecznego bandytę z Królestwa polskiego ujęto przed kilku dniami w Krakowie. Jest nim Antoni Janosek, 36 letni wyrobnik z Wojtkowic kościelnych w gub. Piotrkowskiej, który brał udział w straszny mordzie rabunkowym na rodzinie Sobczyków. Mord ten spełniono w nocy na 15 b. m. a śledztwo nie wykryło sprawców prawdopodobnie dlatego, iż ci zbiegli za granicę.

Janosek przybył do Krakowa i zamieszkał tu w jednym z hoteli, gdzie zwrócił na siebie uwagę rozrzutnością. Policya krakowska roztoczyła przeto nad nim opiekę a stwierdziwszy kilka podejrzanych okoliczności, uwięziła go. W czasie rewizyi znaleziono przy Janosku przeszło 500 kor. gotówką, oraz rozmaite przedmioty podejrzanego pochodzenia. Na skutek indagacyi przyznał się ostatecznie Janosek do strasznej zbrodni, tłomacząc jednak, iż brał w niej tylko bierny udział. Twierdził mianowicie, że gdy towarzysze, których nazwisk nie zna, mordowali, on stał na straży. Następnie udali się wszyscy do sąsiedniego lasu i tam sprawili sutą libacyę a Janosek, skorzystawszy z upicia się towarzyszów mordu, okradł ich i uciekł do Krakowa. Tu jednak wpadł w ręce policyi i zostanie wydany władzom rosyjskim.



### Szarada.

Ułożył Henryk Osuchowski.

Pierwszą z ósmą połączycie
Kraj w Afryce zobaczycie.
Piątą z dziewiątą, tę napotkasz wszędzie,
Lecz gdy tam wpadniesz, krucho z tobą będzie.
Bez piątej z dziesiątą, to jakby bez chleba,
Jako pożywienia koniecznie nam trzeba.
Złącz pierwszą z trzecią dziewiątą
I dołóż czwartą piątą,
Całość napotkasz w urzędzie,
W którym zasiadają sędzie.
Dziewiąta, siódma i piąta, to imię świętego.
Którego się obchodzi w przeciągu lutego.
Trzecia, dziewiąta kwiatek cieplarniany,
Każdemu niemal na pewne jest znany.
Siódma i szósta i »w« dołóż niby,
A wypadnie ptak piękny, pełen także siły.
Drugiej się domyśl mój kochany Panie,
I już jest gotowem całe rozwiązanie.
*Bo całość* — to nasza duma narodowa.
Dla Polski, Polaków — era całkiem nowa.

### Logogryf.

W miejsce kwadratów i kresek, wstawić litery w ten sposób, aby litery wstawione w miejsce kwadratów i czytane z góry na dół utworzyły nazwiska poety i powieściopisarza polskich.



*Znaczenie wyrazów:* Instalacya do wyparowywania soli. 2. Specyalny rodzaj puchu. 3. Historyczny wąwóz w Grecyi. 4. Rzeka na Węgrzech. 5. Przyrząd śmiercionośny. 6. Miasto w Rumunii. 7. Mieszkaniec północy. 8. Rzeka graniczna w dawnej Itali.

### Logogryf.

Z następujących sylab:

a, cet, cy, du, e, i, ie, jec, ka, kan, ku, li, li, mia, na, na, nią, nie, nit, o, or, pi, pie, rek, ros, rzy, skó, so, ta, tas, tel, to, ze, zop, żek, utworzyć 14 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół i końcowe czytane z dołu do góry, utworzą imiona i nazwiska dwóch świeżo zmarłych wybitnych mężów w Galicyi.

*Znaczenie wyrazów*: 1. Jeden z pierwszych kalifów. 2. Wierzchnia warstwa skóry. 3. Rzeka w Galicyi. 4. Naród starożytny. 5. Najwyższy punkt firmamentu. 6. Bożek grecki. 7. Część organizmu ludzkiego. 8. Uczony historyk polski. 9 Pseudonim poety i powieściopisarza polskiego. 10. Poeta włoski z epoki Odrodzenia. 11. Kwas używany w gospodarstwie. 12. Trucizna, którą otruto Sokratesa. 13. Szczyt kolumny. 14. Roślina z biblii.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy utwór Żeromskiego: »Aryman mści się«.



## Rozwiązanie zagadek z Nru 20.

**Szarada.**

Konstanty.

**Logogryf.**

Gierymski.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp*: O. Górkowa Chyrów, I. Wielgus Wadowice, M. Stachowicz Kraków, W. Spirydowicz Stara sól, R. Jaworski Kraków, K. Fuchs Czeremchów, W. Masiuk Dębniki, F. Majewska Kraków, M. Grodzicka, Dęaniki, R. Czaplicki Kraków, J. Pieniążek Lwów, Z. Kubacki Lwów, F. Miller Zagurów, M. Jakób Wocławek, J. Diehl Stryj, W. Polkowski Warszawa, F. Kopystyński Lwów, F. Kossobudzka Warszawa, S. Kiersnowski Kopyś. Ks. J. Mamak Harbutowice, M. Grabowski Warszawa, J. Robak Kraków, F. Niepokój Krosno, A. Bocsoń Bóbrka, C. Czosnowska Lwów, R. Pachulski Lwów, K. Ostrowski Kraków, J. Dolek Warszawa.

Nagrodę za dokre rowiązanie otrzymała przez losowanie p. Felicya Majewska z Krakowa. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.





